

---

*... Aż dojdziemy wszyscy do jedności wiary i poznania Syna Bożego, do męskiej doskonałości, i dorosniemy do wymiarów pełni Chrystusowej...*

---

## Kiedy obłok się podnosi

Ilekcroć obłok podnosił się w górę nad przybytkiem, wyruszali synowie izraelscy w drogę w ciągu całej swej wędrówki.

2Mo 40:36

Historia starotestamentowa stanowi dla nas wzór — obraz wydarzeń i praw duchowych. Jednym z licznych elementów tej bogatej spuścizny jest fakt prowadzenia przez Boga Jego ludu przy pomocy widzialnego słupa obłoku (2Mo 13:21,22; 40:34–38). Warto zauważyć, z jakim naciskiem Pismo Święte podkreśla, że ich wędrówki i postoje odbywały się wyłącznie „na rozkaz Pana”, wyrażony i uwidoczniony w zachowaniu się obłoku (4Mo 9:15–23).

Także lud Boży Nowego Przymierza znajduje się w podróży, którą odbywa pod przewodnictwem Pana, a jej celem jest dojście wszystkich „do męskiej doskonałości” czyli dorosnięcie „do wymiarów pełni Chrystusowej” (Ef 4:13) oraz doprowadzenie do posłuszeństwa wiary wszystkich narodów (Mt 28:19; Rz 1:5). Rozwój Kościoła Jezusa Chrystusa, gdzie po stosunkowo krótkim, bardzo żywotnym okresie apostołskim nastąpił bardzo długi, około tysiącletni okres stagnacji, zaś od czasów reformacji przebiega jego odnowa — stopniowe odzyskiwanie i przywracanie jego pierwotnych, biblijnych cech — jest nam na ogół znany. Chrześcijaństwu ewangelicznemu jest też znana pewna etapowość tego procesu odnowy, czy też, jeśli kto woli, tej postępującej wciąż naprzód reformacji. Bywały w niej okresy względnie spokojne, a także okresy ożywionych ruchów i przemian, co można by przyrównać do postojów i pochodów w długiej wędrówce Izraela.

Specyfika naszej duchowej wędrówki jest jednak inna niż fizycznej wędrówki Izraela przez pustynię, dlatego też inne towarzyszą jej problemy. W historii kościoła poważnym problemem jest rozpoznanie Bożego działania. Słup obłoczny był widzialny fizycznymi oczami, zaś Boża obecność wśród ludu Nowego Przymierza wymaga sprawnego duchowego wzroku, który nie wszyscy mają. Dlatego sygnały do wyruszenia w dalszą drogę otrzymujemy od ludzi szczególnie bliskich sercu Bożemu, którzy pozostają z Nim w zażyłych stosunkach i którym objawia On swoją wolę. Także przyjęcie tych sygnałów, obecnych w ich zwiastowaniu, nie jest automatyczne, lecz wymaga otwartości

na działanie Ducha Świętego po stronie słuchaczy. Ponieważ nie do wszystkich docierają te Boże sygnały, każdemu podnoszeniu się obłoku Bożej chwały i jego posuwaniu się naprzód towarzyszy sporo zamieszania i kontrowersji.

Istotnym czynnikiem w tym procesie jest nasze ludzkie przywiązanie do bezpiecznego, wygodnego trybu życia, który kojarzy nam się z stałym miejscem zamieszkania, dobrze urządzonej i znanym nam środowiskiem, utulnym gniazdkiem, które budowaliśmy przez długi czas, ciągle je ulepszając. Nic dziwnego, że nagły sygnał do opuszczenia tego zagranego miejsca i ruszenia w dalszą drogę, a przez to narażenia się na rzeczy nieznane i na różne zagrożenia, budzi nasz opór i sprzeciw. W sensie duchowym oznacza to, że nasza społeczność w trakcie dziesięcioleci pod wpływem naszych wspólnych działań przybiera jakiś kształt, który jest nam drogi i miły, jako że jest w nim wkład naszej własnej i naszych przodków pracy, gdzie czujemy się dobrze, wygodnie i bezpiecznie. I teraz nagle mielibyśmy to wszystko zmieniać? Boże cele pozostają cały czas niezmiennie, ale my to, co jest tylko pewnym etapem na naszej drodze, uważamy błędnie za stan docelowy. Inaczej mówiąc, rzecz dobra staje się wrogiem rzeczy najlepszej.

Niestety, nie takie jest nasze przeznaczenie. Jako lud Boży mamy pewne zadania i pewne cele, nie możemy więc sobie pozwolić na zasiedziałość w wygodnych, zbudowanych przez nas pieleszach. Nasz Pan ma prawo w każdej chwili nas wezwać do wyruszenia w dalszą drogę, a my mamy obowiązek iść za Nim, bez względu na niewygody i ryzyka, gdyż w przeciwnym razie znajdziemy się poza obrębem Jego działania. Każdemu takiemu ruchowi towarzyszy niestety pewien podział na tych, którzy okazują się gotowi iść dalej, i tych, którzy kategorycznie odmawiają. Ci pierwsi decydują się na konieczne zmiany, podczas gdy ci drudzy pozostają na etapie dotychczasowym. Między jednymi i drugimi jest wiele nieporozumień, wzajemnych zarzutów i oskarżeń, przynajmniej w początkowym, gorącym okresie tych przemian, nie można jednak zapobiec pójściu w różne strony, gdyż brak wspólnego zrozumienia i celu. Jedni i drudzy pozostają na drodze za Panem, naśladują Go jednak według różnego zrozumienia, a więc inaczej.

Ponieważ aktualnie po raz kolejny przebiega opisany powyżej proces, warto może przyrzeć się kilku epizodom z historii kościoła, które rzucić mogą pewne światło na związane z tym procesem mechanizmy.

W okresie reformacji, w której najbardziej wyeksponowaną rolę odegrał znany wszystkim Marcin Luter, istniały różne prądy — działali ludzie z wizją od Boga w różnych sprawach i różnej głębi. Niektórzy z nich kontaktowali się z Lutrem, przedstawiając mu swoje wizje i zachęcając go do pójścia w sprawach reform kościoła na całość i

trzymania się ściśle biblijnego wzorca. Szczególnie warto wspomnieć franciszkanina Lamperta i barona Kaspara von Schwenkfelda, którym Bóg darował głęboki wgląd w istotę Kościoła Nowego Testamentu, bazującego na zasadach osobistego przyjęcia ewangelii i powszechnego kapłaństwa wiernych. Luter przyznał im w zasadzie rację, był jednak zdania, że masy narodu są niedojrzałe do tego typu pobożności i że nie są zdolne sprostać takim wymaganiom. Dlatego zbudował kościół protestancki, zachowując powszechność przynależności do niego, nie uwarunkowaną żadnymi kwalifikacjami, duchowieństwo, powiązania z władzą państwową i wiele innych niebiblijnych relikwów odstępstwa.

Tymczasem jednak wspomniani ludzie, realizując swoje wizje, doprowadzili do powstania wielu kwitnących zborów, opartych na zasadach apostoelskich, w których życie duchowe wyprzedziło pod wieloma względami o setki lat rozwój kościoła jako całości. Niestety, luteranie niechlubnie wstawili się później jako prześladowcy tych zborów, które istniały przez wiele dziesięcioleci szczególnie na terenie dzisiejszego Dolnego Śląska. Przykro jest śledzić, jak ludzie reformacji traktowali i jakimi epitetami częstowali tych rzekomych heretyków. Powstanie i rozkwit w owym czasie tych zborów, które można by bez przesady nazywać ewangelicznymi, podważa wspomnianą opinię Lutra, natomiast można chyba stwierdzić, że nie dojrzała jeszcze wtedy ogólna sytuacja duchowa do upowszechnienia się tego typu pobożności. Odejście od wzorców biblijnych było zbyt dalekie i długotrwałe, toteż i powrót do nich następował powoli i żmudnie. Każdy krok znaczący był ciężkimi zmaganiem z niezrozumieniem ustabilizowanych struktur kościelnych, przeciwnych zachodzącym zmianom.

Inny ciekawy przyczynek do tej historii postojów i wyruszeń w dalszą podróż w stronę celu kościoła stanowi życie i spuścizna Johanna Christoha Blumhardta, duchownego luteranckiego, który jednakże miał nietypową dla tego środowiska osobistą społeczność z Bogiem i głęboki wgląd w życie duchowe. (Życiorys jego publikowaliśmy w nr 15 „Do Celu”.) Pod koniec swojego życia dał on wyraz swojemu przekonaniu, że to, co sam przeżył z Panem, jest tylko przedsmakiem mającego nastąpić ogólnego poruszenia Ducha Świętego, które ogarnie cały świat, zanim nastaną ostateczne czasy antychrysta. Wiemy, że słowa te okazały się być prorocze, gdyż wiek 20 słusznie można nazwać wiekiem potężnego działania Ducha Świętego w skali ogólnoswiatowej. Jednakże autor życiorysu Blumhardta, luteranin skomentował tę jego wypowiedź następująco: „Od tamtego czasu minęło sto lat. To, czego z upragnieniem wypatrywał i co miał nadzieję jeszcze osobiście przeżyć, mianowicie nowe wylanie Ducha Świętego, a przez to ogólnoswiatowe przebudzenie, poprzedzające czasy antychrysta, do dziś

jeszcze nie nastąpiło. Czy Blumhardt mimo swojej rozległej i głębokiej znajomości Biblii mylił się w tej rzeczy, czy też w jego wierze i nadziei kryje się jeszcze jakaś tajemnica?” \*

O czym to świadczy? Po prostu nawet fakty historyczne są całkiem różne, w zależności od punktu i sposobu patrzenia na nie. To, co dla zielonoświątkowców i charyzmatyków jest wspaniałym dziełem Bożym, dla przedstawicieli wcześniejszych struktur kościelnych, które w swoim czasie nie podniosły się do dalszego etapu drogi za Panem, po prostu nie istnieje, albo nawet stanowi tylko jakiś fragment dziejów zwiedzeń w chrześcijaństwie. A takich przykładów można by przytoczyć bez liku. Droga kościoła do jego celu jest trudna i wyczerpująca, ale nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Dla tych jednak, którzy nie ruszają w drogę, kiedy obłok się podnosi, historia kościoła zatrzymuje się i potem są już ich zdaniem tylko zbłądzenia i zwiedzenia, przez które diabeł usiłuje wytrącić kościół z jego stanu docelowego, który widzą w danej strukturze.

Zawsze jednak znajdzie Bóg takich, którzy nie godzą się na żadne odstępstwa kościoła od Bożej, biblijnej dokumentacji i usilnie poszukują drogi naprzód. A ich inspiratorem jest Duch Święty, który nigdy nie ustanie, dopóki biblijny wzorzec kościoła nie stanie się rzeczywistością. Ludzie tacy mają z reguły trudne życie w otoczeniu swoich współpracowników w wierze, ale takie jest ich przeznaczenie, zgodne z przykładem ich Mistrza Jezusa Chrystusa. Nie są to ludzie doskonalsi ani pobożniejsi, lecz tylko bardziej zdeterminowani, aby iść na całość. Nie pozwolą się gdzieś usadzić, lecz bez przerwy niespokojnie rozglądają się, gdzie jest obłok Bożej chwały.

Może warto w tym kontekście wspomnieć o człowieku nazwiskiem Arthur S. Booth-Clibborn. Był Niemcem, który nawrócił się w początkach 20 wieku poprzez usługę Armii Zbawienia. Był tak gorliwym jej działaczem, że szybko awansował na kolejne stopnie. Pojął nawet za żonę córkę założyciela tej organizacji, generała Booth'a. Należał jednak do takich właśnie, których nic nie powstrzyma od pójścia tam, gdzie wyczuwają obecność obłoku Bożej chwały. Kiedy usłyszał o przeżyciach zielonoświątkowych, ruszył od razu, aby te sprawy osobiście zbadać. I został pochwycony, gdyż przeżył chrzest Duchem Świętym i otrzymał niektóre dary duchowe. Wtedy nie radził się ciała i krwi, lecz zaczął funkcjonować w otrzymanym obdarowaniu jako ewangelista. Niestety, nie spotkało się to ze zrozumieniem wśród jego bliskich. Uznano, że duchowo zbłądził lub nawet zdradził swoje ideały. Ale on

---

\* Erwin Rudert: „Ich will von Blumhardt lernen, daß Jesus Sieger ist”, Ernst Franz, Metzingen 1996, str. 57.

ani nie zbłądził, ani nie zdradził, tylko szedł dalej naprzód za Bożym słupem obłocznym. I tak było do końca jego życia. Gdziekolwiek działo się coś nowego, on musiał tam być i to zbadać. Pod koniec życia spotykamy go w bliskim towarzystwie niektórych osób z kręgu „Voice of Healing”, uczestniczącego w kampaniach uzdrowieńczych.

Kiedy działanie Ducha Świętego na początku 20 wieku stawało się coraz bardziej głośnie i przyciągało coraz większą uwagę, społeczności ewangeliczne, które ten ruch początkowo potępiły, przystąpiły do przeciwdziałania. Zaczęto energicznie rozpowszechniać publikacje na temat Ducha Świętego, aby udowodnić swoim członkom, że tematyka ta jest doceniana i że nie trzeba odchodzić gdzie indziej. — Jakie to były książki? — Były to na ogół bardzo dobre książki o Duchu Świętym. Zawierały to najlepsze, co wiadome było o roli i sposobach działania Ducha Świętego... pod koniec 19 wieku. Nie było w nich natomiast ani słowa o tym, co Duch Święty czynił później, w przebudzeniu z początku 20 wieku.

Należy w tym kontekście zauważyć i podkreślić dwie rzeczy. Po pierwsze, ludzie angażujący się w nowym poruszeniu duchowym nie są ani bardziej duchowi, ani doskonalsi pod żadnym względem od pozostałych. Są tak samo ograniczeni i podatni na pomyłki, jak wszyscy inni. W każdej rzeczy, gdzie występuje działanie ludzi, będą rzeczą normalną różne braki, mankamenty, błędy i wypaczenia. Zawsze będzie można zarzucić im mnóstwo rzeczy negatywnych. Istotne jest tylko to, czy sedno zwiastowanego poselstwa i dążenia zbliża kościół do jego postaci docelowej, a nie to, czy zwiastują je lepsi lub dojrzalsi ludzie. Gdzież było uczniom Jezusa równać się z dojrzałością, erudycją czy ogładą uczonych w Piśmie i faryzeuszów? Ale Bóg z upodobaniem wybiera sobie właśnie takich, którzy w oczach mądrych się nie liczą.

Po drugie, postawienie nowego kroku na drodze do celu nie oznacza i nie może oznaczać negacji dotychczasowej drogi. Chodzi zawsze tylko o dalszy krok, mocno bazujący na poprzednich i ściśle do nich nawiązujący i z nich wynikający. Podejrzane są przeskoki, których zwolennicy odcinają się od przeszłości jako od zwiędzenia, z którego narzście się wydostali. Jednym z kryteriów autentyczności kolejnego kroku w historii kościoła jest właśnie to, że wyszukuje się w nim, skrupulatnie bada i mocno podkreśla dokonania znaczących osobistości życia duchowego minionych okresów oraz ich pragnienia, tęsknoty i wizje, które nie do końca urzeczywistniły się za ich życia.

Z tego drugiego punktu wynika, że wykluczone jest występowanie zwolenników nowego poruszenia przeciwko dawniejszym strukturom, podważanie ich osiągnięć lub kwestionowanie sensu ich istnienia. Zasadne jest tylko wskazywanie na fakt, że nie są one postacią docelową

kościół i wymagają dalszego rozwoju. Przykładowo, uczynione powyżej wzmianki o kościele luterańskim i Armii Zbawienia nie oznaczają, że struktury te nie pełniły i nie pełnią dotychczas swojej doniosłej roli. Miałem przywilej poznać bliżej luterańskich charyzmatyków i widzieć, a także bezpośrednio uczestniczyć w zadziwiającym nadnaturalnym Bożym działaniu w ich codziennym życiu, wiem także, jak ważną pracę wykonuje dotąd Armia Zbawienia. Jeśli nawet te lub inne struktury nie rozumieją aktualnego etapu Bożego działania lub nawet popadną względem niego w syndrom negacji, Bóg nie przestanie błogosławić ich ani używać w zakresie, na jaki ich postawa na to pozwala. Chodzi tylko o to, że będzie to zakres węższy od tego, co mogłoby być ich udziałem, gdyby szły za Panem bez zastrzeżeń.

Cóż, istnieją subkultury, które nie korzystają z pewnych nowoczesnych wynalazków i udogodnień, na przykład z prądu elektrycznego czy transportu samochodowego, co może wywoływać zdziwienie, ale to ich sprawa. Zaś w analogii duchowej jest to sprawa między nimi a Bogiem, w żadnym zaś wypadku nie nasza, ludzi postronnych. Możemy tylko radować się wraz z nimi społecznością braterską z naszym wspólnym Ojcem i co najwyżej w miłości i pokorze starać się zachęcić ich do tych aspektów naszej wiary, które są im nieznane, jednocześnie chętnie ucząc się od nich tego, w czym nas przewyższają i wyprzedzają.

Czas na przyjrzenie się naszej obecnej sytuacji duchowej. Ogólnie mówiąc, jest ona skomplikowana, gdyż równocześnie przebiega wiele różnych procesów. Są czasy ostateczne i wszystko w przyspieszonym tempie zmierza do swojego ostatecznego przeznaczenia. Dotyczy to zarówno dzieł diabelskich, jak i dzieła Bożego. Równocześnie dojrzewa i dochodzi do swojej postaci docelowej „Wielki Babilon, matka wszetecznic i obrzydliwości ziemi” (Obj 17:5) oraz Oblubienica Baramka, przyobleczona w czysty, lśniący bisior (Obj 19:7,8). Rzecz oczywista, że uwaga ludu Bożego skupiać się będzie na tej ostatniej, gdyż to ona jest naszym celem. Ale obserwując aktualny stan kościoła, widzimy jeszcze cały szereg elementów dalekich od biblijnego wzorca, nic więc dziwnego, że rozbrzmiewa donośne zwiastowanie, wzywające lud Boży do wyprostowania się i ruszenia w kolejny, ostatni etap wędrówki do celu. Wiele znaczących głosów i zjawisk wskazuje na to, że tym razem nie chodzi o poruszenie, po którym nastąpią dalsze, lecz o ostatni etap, tuż przed powtórным przyjściem Chrystusa.

Dzisiejszą sytuację cechuje wszystko to, co widzieliśmy w poprzednich Bożych poruszeniach, przy czym bardzo mocny nacisk kładzie się właśnie na to wszystko, co pozostaje jeszcze do zrobienia i czego w dotychczasowych poruszeniach mimo zwiastowania nie udało się osiągnąć. Wątków takich, ogólnie mówiąc, jest wiele, ale największy nacisk Ducha Świętego zdaje się spoczywać na problemie organicznej

jedności w ciele Chrystusa i na głoszeniu ewangelii jako głównym jego zadaniu. Lecz nie chodzi teraz o apele o jedność i głoszenie ewangelii, gdyż te rozbrzmiewają już od stuleci, lecz o zwiastowanie i wprowadzenie w życie kościoła pełnego i całkowitego rozwiązania obu tych problemów. Pismo Święte zawiera bowiem ich pełne rozwiązanie, a Duch Święty objawia teraz to rozwiązanie swojemu ludowi. I wszędzie tam, gdzie głos ten jest słyszany i znajduje posłuch, następuje gwałtowny wzrost prężności i żywotności kościoła, gdyż do kościoła zjednoczonego organicznie i skoncentrowanego na realizacji wielkiego posłannictwa misyjnego, bez zwłoki powraca Boża chwała.

Ten proces przeobrażeń nie jest bynajmniej pozbawiony oporów, konfliktów i zmagañ — przeciwnie, są one być może silniejsze jeszcze niż dawniej. Z dotychczasowych struktur podnoszą się głośnie sprzeciwy i zaobserwować można to wszystko, co znane jest z wcześniejszych okresów. Między innymi pojawiają się książki na temat dobudowania kościoła do jego postaci docelowej. Są to bardzo dobre książki, mówiące to najlepsze, co wiadomo było o kościele i jego ostatecznym kształcie... w połowie 20 wieku. Niestety, nie ma w nich ani słowa o tym, czego Duch Święty dokonał w drugiej połowie i czego dokonuje dziś. Widzimy też najróżniejsze warianty zniechęcenia i często syndrom negacji, rozpacz szczerych mężów Bożych nad biegiem wydarzeń. Dobrze, że wszystko to znamy z przeszłości, gdyż dzięki temu łatwiej nam się w tym wszystkim orientować. Tak jak zawsze, bardzo zależy na tym, jak i na co patrzymy. Będą bowiem tacy, którzy nawet tęsknie wyczekują ogólnoświatowego poruszenia czasów ostatecznych przed nadejściem antychrysta, ale po fakcie powiedzą, że nic takiego jeszcze nie nastąpiło, gdyż cały czas widzieli tylko kolejne przyczynki do dziejów zwiedzeń w chrześcijaństwie.

Można się zastanawiać, dlaczego widzimy i oceniamy tak bardzo różnie. Dlaczego Ojciec przed jednymi zakrywa te rzeczy, a innym je objawia. Dlaczego jedni są zropaczeni albo irytują się, a inni pełni entuzjazmu. Dlaczego jedni usilnie wołają do Boga o własną przemianę, a inni gorliwie polują na zwiedzenia i robią zarzuty innym. Może nie wiemy, a może wydaje nam się, że wiemy. Najważniejsze jednak dla każdego z nas jest to, jak widzi nas nasz Pan.

Kościół odnowiony to kościół, w którym funkcjonuje zasada powszechnego kapłaństwa w miejsce klerykalizmu, jedność w różnorodności w miejsce denominacjonizmu, autorytet Pisma Świętego w miejsce ludzkich interpretacji, struktura organiczna w miejsce organizacji. Ale nade wszystko to kościół, w którym funkcjonuje wzajemna miłość w miejsce egoizmu, szczerłość w miejsce obłudy, jawność w miejsce ukrywania, prostolinijność w miejsce manipulacji, wzajemne usługiwa-

nie sobie w pokorze w miejsce wzajemnego robienia sobie zarzutów i tak dalej. To nie są frazesy, bo już najwyższy czas, ostatni dzwonek, aby to wszystko przestało być utopią, a stało się rzeczywistością.

Dlatego w obecnym poruszeniu nie wystarczy nikomu dotychczasowy poziom rozwoju duchowego. Aby okazać się zwycięzcą, bezwzględnie konieczny jest nowy, wyższy poziom ukrzyżowania z Chrystusem, nowy, wyższy poziom wiary, nowy, wyższy poziom społeczności z Panem, nowy, wyższy poziom osobistej wewnętrznej przemiany w każdej dziedzinie życia duchowego. Bo tylko taka całkiem nowa jakość będzie w stanie sprostać wyzwaniom w nowych realiach w odnowionym i dobudowanym ciele Chrystusa. A drogą do przemian w tych wszystkich dziedzinach jest tylko intensywne, systematyczne życie modlitewne — usilne błaganie Boga o ostry duchowy wzrok.

Ci, których serca Duch Święty porusza do wyruszenia w kierunku tego wspaniałego celu, to ci, którzy kiedyś, a może już niebawem, w licznym tłumie podniosą swój głos jakby szum wielu wód i jakby huk potężnych grzmotów, i powiedzą: „**Alleluja! Oto Pan, Bóg nasz, Wszchemogący objął panowanie. Weselmy się i radujmy się, i oddajmy mu chwałę, gdyż nastąpiło wesele Baranka, i oblubienica jego przygotowała się; i dano jej przyoblec się w czysty, lśniący bisior, a bisior oznacza sprawiedliwe uczynki świętych**” (Obj 19:6–8).

J. K.

## Zwróćcie uwagę na Jezusa

Miej w pamięci Jezusa Chrystusa... 2Tm 2:8

Przeto, bracia święci, współuczestnicy powołania niebieskiego, zważcie na Jezusa, posłańca i arcykapłana naszego wyznania...

Hbr 3:1

Patrząc na Jezusa, sprawcę i dokończyciela wiary...

Hbr 12:2

Te trzy fragmenty Pisma Świętego szczególnie wyraźnie zachęcają do tego, abyśmy w swoim życiu chrześcijańskim skupiali uwagę na Jezusie. Mamy mieć Go w pamięci, zważać na Niego czyli zwracać na Niego uwagę (BT) i biegnąc wytrwale w wyścigu patrzeć na Niego.

Zwłaszcza pierwszy z cytowanych wersetów zmusza do refleksji. Słowa te były skierowane do Tymoteusza, który prowadził zbór i był pracownikiem Kościoła. Jakież sens miało przypominanie mu, by pamiętał o Jezusie Chrystusie? Czyż mógł o Nim zapomnieć? Przecież to tak samo, jak przypominąć rolnikowi, by pamiętał o polu, czy marynarzowi, by pamiętał o morzu! O co mogło chodzić apostołowi?



Prowadzimy życie chrześcijańskie i chcemy, aby było ono owocne. Toczmy bój wiary i chcemy, aby był on zwycięski. Dorastamy „do wymiarów pełni Chrystusowej” (Ef 4:13) i chcemy osiągnąć ten nasz cel jak najprędzej. W tym wszystkim najistotniejszym elementem jest nasze skupianie wszelkiej uwagi na Jezusie. Nasz postęp duchowy wymaga naszego bezustannego, wyczerpanego wpatrywania się w Jezusa. — Dlaczego? — Bo On jest źródłem wszelkich naszych dóbr duchowych. On jest niewysłowionym Bożym darem (2Ko 9:15), w którym zawarł Bóg wszystko, co nam jest potrzebne w naszym biegu (2Pt 1:3; Rz 8:32; Ef 1:3). Każdy krok naprzód w stronę naszego celu uwarunkowany jest wyraźniejszym zobaczeniem i głębszym poznaniem Chrystusa.

Bóg stawia przed nami różne zadania. Jesteśmy powołani do głoszenia ewangelii wszelkiemu stworzeniu, do naśladowania naszego Mistrza i do kontynuowania Jego dzieła, co oznacza między innymi bycie Jego świadkami (Dz 1:8), zwiastowanie dobrej nowiny, ogłaszanie wyzwolenia i wypuszczanie na wolność (Łk 4:18,19), a także niweczenie dzieł diabelskich (1J 3:8). Ponadto prowadzimy nowe życie w wrogim nam otoczeniu opanowanym przez zło, co naraża nas ciągle na różne ataki sił ciemności, którym musimy stawiać czoła (Ef 6:12).

— Jakie są w obliczu tej sytuacji i tych zadań nasze szanse? — Jeśli polegamy na potencjale, który sami jesteśmy w stanie zgromadzić i zastosować, to nie mamy żadnych szans. Przeważnie o tym wiemy i zdajemy sobie sprawę, że potrzebujemy różnorodnego Bożego wyposażenia. Dlatego przychodzimy do Boga w modlitwie i usilnie prosimy o Jego wsparcie. Prosimy o więcej wiary, mądrości, miłości do zgubionych, więcej mocy duchowej do odnoszenia zwycięstwa nad szatanem i może o wiele innych jeszcze elementów, potrzebnych nam do tego, aby nasze życie i służba dla Pana były zwycięskie.

Niestety okazuje się, że efekty tych wysiłków są nikłe lub nie ma ich wcale. Pozorny postęp w jednej dziedzinie następuje przy jednoczesnym cofaniu się w innej dziedzinie. Zmagamy się więc, nie osiągając zdecydowanej przewagi. Ciągłe widzimy w sobie samych i w otaczających nas okolicznościach mnóstwo potrzeb, trudności i problemów, co sprawia, że pełne, ostateczne zwycięstwo zdaje się być coraz bardziej odległe, albo nawet staje się nierealnym marzeniem. W tej sytuacji wyrazistość Bożych obietnic coraz bardziej blednie, a nam samym prędzej czy później grozi popadnięcie w zniechęcenie.

Jest wiele takich, którzy rozwiązują ten problem tak, że godzą się na daleko idące odstępstwa od biblijnego wzorca, na chrześcijaństwo pozbawione autentycznej Bożej mocy i autentycznego zwycięstwa nad grzechem, szatanem i starą naturą człowieka. Dorabiają do tego nawet swoistą teologię, starając się wykazać, że tak być powinno i że

tak jest normalnie. Żyją potem w tym bezbarwnym i jałowym świecie religijności, który nie zadowala w pełni ani ich samych, ani Boga.

Ci z nas natomiast, którzy przesłanie Pisma Świętego traktują na serio i nie pozwalają na to, by ludzkie doktryny i tradycje wypaczyły ich widzenie duchowej rzeczywistości, borykają się z problemem ogromnej, wręcz przepastnej różnicy pomiędzy wzorcem chrześcijanina i kościoła z kart Pisma Świętego, a obserwowaną w sobie i wokół siebie rzeczywistością. Nie możemy zaakceptować tej różnicy jako normalnej i dopuszczalnej, lecz z reguły nie możemy też mimo usilnych starań wydostać się z naszej połowiczności i osiągnąć biblijny stan docelowy. Jeśli obiektywnie i szczerze oceniamy samych siebie, to widzimy stan laodycejski: nędzę, ubóstwo i nagość, gdyż ogromna większość obietnic Bożych w życiu naszym po prostu się nie sprawdza, i to po wielu latach czy nawet po dziesięcioleciach chrześcijańskiego życia. Patrząc na samych siebie możemy tylko płakać. Jedyne, co różni nas wtedy od Laodycejczyków jest świadomość naszej nędzy — nie mówimy, że jesteśmy bogaci, gdyż wiemy, że tak nie jest.

W świetle Pisma Świętego, a konkretnie tych wersetów, które zacytowaliśmy na wstępie jako nasze motto, przyczyna tego stanu jest oczywista. Naszą uwagę skupiliśmy prawie wyłącznie na swoich potrzebach, na napotykanym przez nas trudnościach i na dręczących nas, niemożliwych do rozwiązania problemach oraz na samych sobie, próżno szukając w sobie potencjału, zdolnego zapewnić nam zwycięstwo. Tym są zajęte nasze myśli, o tym mówimy, tego dotyczą nasze działania i to jest treścią naszych modlitw. Tym jesteśmy zaabsorbowani, w tym się pogrążamy. Przestaliśmy natomiast mieć w pamięci Jezusa Chrystusa, przestaliśmy skupiać naszą uwagę na Jezusie, przestaliśmy na Niego patrzeć. Po prostu jakoś w nawale mnóstwa kłopotów dnia powszedniego, a być może także i w nawale naszej ożywionej aktywności religijnej Jezus prawie zupełnie wypadł nam z pamięci.

A przecież to On jest dla nas Bożym darem, w którym zawarte jest wszystko, czego potrzebujemy do naszego życia i do naszych zadań. Bóg w Nim i wraz z Nim darował nam wszystko i nie ma żadnej potrzeby, by dawał nam coś jeszcze. Nie ma też żadnej potrzeby, byśmy poza Nim poszukiwali czegoś jeszcze. W Nim mamy całą pełnię sprawiedliwości, świętości, wiary, miłości, mądrości, mocy i wszelkich innych dóbr, jakie tylko mogą być nam kiedykolwiek potrzebne. Przykładowo, On jest ubłaganiem za nasze grzechy (1J 2:2), naszym pokojem (Ef 2:14), naszą mądrością, sprawiedliwością, poświęceniem, odkupieniem (1Ko 1:30), mocą Bożą (1Ko 1:24), żywym chlebem (J 6:35,41,48,51), drogą, prawdą i życiem (J 14:6).

— A w jaki sposób staje się to wszystko naszym udziałem? —

Pismo Święte uczy nas, że tylko **przez poznanie** Jezusa Chrystusa (2Pt 2,3; J 17:3), albo, inaczej mówiąc, przez wpatrywanie się w Niego czyli studiowanie i rozważanie pod działaniem Ducha Świętego tego wszystkiego, co mówi o Jezusie Chrystusie Pismo Święte. Stamtąd dowiadujemy się także, iż każdy, kogo Bóg przyjmuje za syna, otrzymuje Ducha Jego Syna Jezusa Chrystusa (Gal 3:26–28; Rz 8:9–10,14–17), a to oznacza, iż Jezus Chrystus zamieszkuje w nim (J 14:20; J 17:21–23). Naszą odpowiedzialnością jest jednakże świadome trwanie w tej organicznej więzi z Chrystusem przez przestrzeganie Słowa Bożego (J 14:23; J 15:4–11) i przez wiarę w jego prawdziwość (Ef 3:17–19).

Problemem numer jeden przeważnej części nas chrześcijan jest to, iż wiedząc o tym w teorii i uznając to doktrynalnie podchodzimy do tego wszystkiego powierzchownie, zaledwie ślizgając się po powierzchni tych prawd, podczas gdy praktyczna strona tych faktów pozostaje dla nas nieosiągalna. Dlatego odczuwamy dotkliwe braki, mimo iż w Chrystusie mamy ich pełne zaspokojenie, i borykamy się z poważnymi problemami, mimo iż w Chrystusie mamy ich pełne rozwiązanie. Wyjście z tej ponurej sytuacji jest jednak równie wspaniałe, jak wszystko inne, co dla nas uczynił Bóg. Trzeba odwrócić swoją uwagę od braków, trudności i problemów, a zamiast tego skupić ją na Jezusie, w którym jest ich zaspokojenie i rozwiązanie.

Ilustracją jest starotestamentowy epizod z historii Izraelitów. Kiedy z powodu ich szemrania popadli w kłopoty i zaczęły kasać ich węże, nie pomagały żadne ludzkie środki, lecz trzeba było zastosować jedyny skuteczny środek — ten, który dał im Bóg — a było nim skierowanie uwagi na miedzianego węża na drzewcu (4Mo 21:4–9). Jest to przede wszystkim obraz grzechu i ofiary prześlągalnej Chrystusa na krzyżu, ale dotyczy on także wszystkich pozostałych aspektów naszego zaprzędania i odkupienia, gdyż wszystkie one mają to samo rozwiązanie: Jezusa Chrystusa.

W naszej mentalności świadomie czy podświadomie stoimy poważnie na stanowisku, że w danej sytuacji Bóg musi coś zrobić, lub też my sami musimy coś zrobić. Jedno i drugie jest nieprawdą. Prawda jest taka, że ani Bóg nie musi już nic robić, ani też nam nie trzeba już nic robić — trzeba nam tylko uświadomić sobie i zaakceptować to, co Bóg już zrobił. To dotyczy ogromnej liczby różnych naszych duchowych i praktycznych spraw w bardzo szerokim zakresie, znacznie szerszym, niż sobie uświadamiamy. To jest pozycja wiary — świadomość prawdziwości faktów, przedstawionych nam w Piśmie Świętym, i działanie na ich podstawie. Kiedy dzięki skupianiu uwagi na Jezusie osiągniemy taką świadomość, znikną wszelkie trudności i problemy, a pozostanie tylko bezgraniczny zachwyt i uwielbienie, gdyż zobaczymy,

że nasze potrzeby są zaspokojone, nasze trudności usunięte, a nasze problemy rozwiązane, tak iż jesteśmy zwycięzcami.

Praktycznie biorąc, oznacza to, że kiedykolwiek stajemy przed jakimś wyzwaniem, nie powinniśmy roztrząsać swoich własnych możliwości ani też analizować okoliczności w poszukiwaniu jakiejś możliwej do zrealizowania drogi wyjścia, lecz powinniśmy zagłębić się w Słowie Bożym, poszukując tam faktów, mówiących o Bożym sposobie sprostania temu wyzwaniu, дарowanym nam i zawartym dla nas w Jezusie Chrystusie. Nie ma bowiem żadnego wyzwania, któremu nie byłibyśmy w stanie sprostać środkami, jakie mamy w Chrystusie, żadnego problemu, który w Nim nie byłby już rozwiązany (1Mo 18:14; Łk 1:37; Flp 4:13). Tak długo, jak długo patrzymy na siebie i okoliczności, będziemy w obliczu problemów doświadczać bezradności i bezsilności. Jak tylko znajdziemy w oparciu o Słowo Boże rozwiązanie, дарowane nam w Chrystusie, stajemy się zwycięzcami.

Dlatego Słowo Boże na wielu miejscach zachęca nas do stałego zachowywania w świadomości tego wszystkiego, co mamy w Chrystusie i co czyni nas zwycięzcami. **„Czy nie wiecie, że świątynią Bożą jesteście i że Duch Boży mieszka w was?”** (1Ko 3:16) **„Czy nie wiecie, że ciała wasze są członkami Chrystusowymi?”** (1Ko 6:15) **„Czy nie wiecie o sobie, że Jezus Chrystus jest w was?”** (2Ko 13:5) **„... uważajcie siebie za umarłych dla grzechu, a za żyjących dla Boga w Chrystusie Jezusie, Panu naszym”** (Rz 6:11). Jeśli bowiem o tym wiemy, jesteśmy uczestnikami i użytkownikami tego wszystkiego, co Bóg zawarł w Chrystusie. Czyż możemy wtedy doświadczać jakiegos niedostatku?

Wypada nam stwierdzić uczciwie, że wprawdzie o tym wiemy, bardzo nam się to podoba i gorąco pragniemy, aby tak było, ale w praktyce nie doświadczamy na co dzień tych wszystkich wspaniałych konsekwencji, które z tego powinny wynikać. — Co wtedy powinniśmy robić? — Z całą pewnością znów nie prosić, by Bóg to w nas urzeczywistnił, bo On w Jezusie zrobił już wszystko, aby było to rzeczywistością. — Czy wobec tego nie powinniśmy się modlić? — Powinniśmy się modlić i to długo, usilnie i wytrwale. Ale nie o to, aby Bóg zaspokoił naszą potrzebę, usunął naszą dolegliwość lub rozwiązał nasz problem, ani też o to, aby darował nam więcej wiary, więcej mądrości, więcej miłości, więcej mocy itd., gdyż to wszystko już dał nam w całej pełni i obfitości, dając nam Chrystusa.

— O co więc powinniśmy zabiegać w swoich modlitwach? — Głównie o to, aby Bóg „oświecił oczy naszego serca, abyśmy wiedzieli, jaka jest nadzieja, do której nas powołał, i jakie bogactwo chwały jest udziałem świętych w dziedzictwie jego, i jak nadzwyczajna jest wielkość mocy jego wobec nas, którzy wierzymy dzięki działaniu przemożnej siły

jego, jaką okazał w Chrystusie...” (Ef 1:18–20) i o to, „... żeby Chrystus przez wiarę zamieszkał w sercach naszych, i abyśmy, wkorzeni i ugruntowani w miłości, zdołali pojąć ze wszystkimi świętymi, jaka jest szerokość i długość, i wysokość i głębokość... abyśmy zostali wypełnieni całkowicie pełnią Bożą” (Ef 3:17–19). Tak modlił się apostoł, rozumiejąc, że to jest najbardziej istotną potrzebą tych wszystkich, którzy weszli na drogę podążania za Jezusem, podobnie modlił się też sam Jezus (J 17:20–23), przy czym modlitwy te zostały wysłuchane, a dotyczą one także i nas.

Chodzi więc nie o wpływanie na Boga, by zmienił okoliczności, lecz o naszą przemianę wewnętrzną, zwłaszcza w sposobie myślenia i sposobie odbioru ewangelii, aby móc wyraźnie zobaczyć, że Bóg uczynił już wszystko i darował nam wszystko, czego potrzebujemy do sprawowania pełnej władzy nad okolicznościami. A przemiana taka zachodzi w nas poprzez bezustanne patrzenie na Jezusa, bezustanne koncentrowanie na Nim naszej uwagi, bezustanne zachowywanie Go w pamięci poprzez rozważanie Jego Słowa i społeczność z Nim w modlitwie, gdyż właśnie to może uczynić nas niepokonanymi zwycięzcami.

Proces ten ilustruje znany werset 2Ko 3:18, gdzie czytamy: **„My wszyscy tedy, z odsłoniętym obliczem, oglądając jak w zwierciadle chwałę Pana, zostajemy przemienieni w ten sam obraz, z chwały w chwałę, jak to sprawia Pan, który jest Duchem”**. Kiedy Duch Święty poprzez Słowo i społeczność z Nim utrwali i ugruntuje w nas świadomość zamieszkiwania w nas Chrystusa z całą Bożą pełnią, nie będzie dla nas nic niemożliwego, a radość nasza będzie zupełna (J 15:7,11). To jest niezawodny, biblijny, Boży sposób dochodzenia „do męskiej doskonałości” i dorastania „do wymiarów pełni Chrystusowej” (Ef 4:13). Jest czas, aby ten program dla ludu Bożego został w naszym życiu wreszcie zrealizowany. Już nie w pierwocinach czyli pojedynczych osobach, takich jak znani nam z historii bohaterowie wiary, lecz w wielkiej liczbie zwyczajnych, normalnych chrześcijan.

— Ale rzeczywistość jest taka, że w tej chwili tego nie mamy. Jeśli więc mamy to mieć, musi się coś stać. Musimy więc coś zrobić albo też Bóg musi coś zrobić. I znów jesteśmy w punkcie wyjścia. — To prawda, ale tym „coś” nie jest nic innego i nic więcej, jak tylko nasze patrzenie na Chrystusa i Boże oświecenie oczu naszego serca. Nie pozwólmy się wciągnąć w pułapkę mniemania, że trzeba jeszcze czegoś, gdyż wszystko jest już zawarte i dostępne dla nas w Chrystusie. Trzeba tylko coraz wyraźniej to widzieć i uczyć się z tego korzystać.

— Czy to potrafimy? Czy będziemy to umieć? — To znów ta sama wykrzywiona mentalność. Znów patrzenie na siebie i okoliczności. „Ja mam coś zrobić i niechybnie ja nie dam rady. Ja gdzieś utknę i znowu

będę bezradny”. To nie ty ani ja musimy potrafić, umieć, dać rady. To On potrafi, umie i da rady. Bo także i to jest zawarte w naszym dziedzictwie, jakie Bóg darował nam w Chrystusie.

— Czy jest na to jakiś biblijny dowód? — A jakże! Mamy patrzeć na Jezusa, **sprawcę i dokończyciela wiary** (Hbr 12:2). Jest On więc nie tylko sprawcą naszej wiary czyli nie tylko tym, który nas znalazł i powołał do swojego Królestwa, lecz jest także dokończycielem czyli tym, który wziął na siebie odpowiedzialność za nasze dojście do celu! Alleluja! Często zachowujemy się tak, jak gdyby Bóg postawił nas w naszej obecnej sytuacji i opuścił nas ze słowami: „A teraz już sam sobie radź jak umiesz. Jeśli się dobrze namęczysz i nagłowisz, może ci się uda z tego wybrnąć”. Nasze szamotanie się i zmaganie świadczy więc o tym, że zapomnieliśmy o Jezusie, który jest dokończycielem naszej wiary. Walczymy wtedy o własnej sile i nic dziwnego, że przegrywamy.

Nasze dziedzictwo w Chrystusie obejmuje gwarancję, iż On doprowadzi nas do celu. Bóg w swoim Słowie zapewnia: Jezus Chrystus **„utwierdzi was aż do końca, tak iż będziecie bez nagany w dniu Pana naszego Jezusa Chrystusa”** (1Ko 1:8). **„... Ten, który rozpoczął w was dobre dzieło, będzie je też pełnił aż do dnia Chrystusa Jezusa”** (Flp 1:6). **„Albowiem Bóg to według upodobania sprawia w was i chcenie i wykonanie”** (Flp 2:13). **„Wierny jest ten, który was powołuje; On też tego dokona”** (1Ts 5:24). Alleluja! Czego dokona? Mówi o tym poprzedni (23) werset. Bóg pokoju nas w zupełności poświęci, a cały duch nasz i dusza, i ciało będą zachowane bez nagany na przyjście Pana naszego, Jezusa Chrystusa!

Czy więc uzasadnione są nasze rozterki, poczucie bezradności czy bezsilności w obliczu jakichkolwiek sytuacji czy problemów? Jeśli się im poddajemy, jest to dowodem, że nasz duchowy wzrok jest przytępiony i nie widzimy wyraźnie Jezusa, sprawcy i dokończyciela wiary. Nie musi tak być i Bóg nie chce, żeby tak było. Radzi nam namaścić swoje oczy, aby widzieć wyraźnie, a ta maść, to również nie nasz produkt, tylko Jego. Przypomnijmy w tym kontekście starotestamentową obietnicę: **„W owym dniu głusi będą słyszeć słowa księgi, a oczy ślepych z mroku i z ciemności będą widzieć”** (Iz 29:18). Jeśli z łaski Bożej i pod wpływem działania Słowa i Ducha widzieć zaczniemy Jezusa jasno i wyraźnie, zostaniemy przemienieni w Jego obraz w takim stopniu, że będziemy zawsze myśleć, mówić i postępować w pełnej zgodności z tym wszystkim, co Biblia mówi o Jezusie, o nas i o naszej pozycji w Nim. I to będzie normalne chrześcijaństwo, na miarę Chrystusowej pełni, na które czeka całe stworzenie (Rz 8:19).

Kiedykolwiek jesteśmy zniechęceni, powodem tego jest to, że zamiast na Jezusa patrzemy na siebie i na okoliczności. Skupianie uwagi

na Jezusie sprawia natomiast, że wzrasta nieustannie nasza radość, nasz zachwyty i nasz entuzjazm. Wniosek jest jednoznaczny: „**Dlatego opadłe ręce i omdlałe kolana znowu wyprostujcie, i prostujcie ścieżki dla nóg swoich, aby to, co chrome, nie zbczyło, ale raczej uzdrowione zostało**” (Hbr 12:12,13). Boża pełnia w Chrystusie czeka na zwycięzców. Czerpajmy z niej, a świat i nadziemskie władze i zwierzchności w okręgach niebieskich zobaczą ze zdumieniem poprzez zwycięski Kościół różnorodną mądrość Bożą (Ef 3:10).

J. K.

## Omiń pułapkę zniechęcenia

W życiu ludzi wierzących i w ich wzajemnych relacjach bardzo często obserwować można pewne schorzenie, którego podłożem jest to, że bieg wydarzeń, którego nie jesteśmy w stanie odwrócić, przygnębia nas i zniechęca. Jeśli nie unikniemy tej pułapki, popadamy w zgorzknienie i depresję, zaczynamy mieć pretensje do innych lub nawet do Boga, a nie mogąc tego ukryć wywołujemy u innych konsternację, co może prowadzić do bardzo poważnych zakłóceń we wzajemnych stosunkach. Rozsądne podejście do tego zagadnienia może uchronić nas samych i lud Boży od wielu przykrych konsekwencji.

Paradoksalnie, zniechęcenie to nie choroba ludzi duchowo obojętnych, letnich czy oziębłych — przeciętnych zjadaczy chleba, którym wszystko jedno i którzy niczym się nie przejmują. Dotyka ona raczej tych, którzy traktują swoje życie duchowe bardzo na serio, usiłują iść ze swoim Panem naprzód, rozwijając się i służyć Mu. Pragną też widzieć rozwój i rozkwit kościoła i są gotowi w tym uczestniczyć, a nawet ponosić w interesie tego celu niezbędne ofiary. Często są to ludzie o nieprzeciętnym poziomie osobistej społeczności z Panem, życia modlitewnego i służby dla Pana. Jeśli popadną w zniechęcenie, szkoda dla nich samych i dla królestwa Bożego jest bardzo znaczna.

— Jaki jest mechanizm tego zjawiska? — Początek jest taki, że człowiek wierzący zaczyna widzieć pewne sprawy w nowy, inny niż do tej pory sposób. Może to nastąpić na drodze osobistej społeczności z Panem czyli na drodze otrzymania duchowego objawienia, może też być to wynikiem lektury Pisma Świętego, zetknięcia się z jakimś zwiastowaniem, rozmowy z pewnymi ludźmi, przeczytania jakiejś książki lub na inny jeszcze sposób. Jak z tego widać, przedmioty takich wizji mogą być bardzo różnorodne, mogą mieć różny zakres, różna może też być ich duchowa waga. Nie ma to jednak znaczenia dla naszego rozważania. Wystarczy, że w przekonaniu posiadacza danej wizji jest ona bardzo ważna i aktualna, a od jej realizacji zależy bardzo wiele.

Jeśli prawidłowo rozwijamy się duchowo, otrzymywanie i posiadanie takich wizji będzie w naszym życiu czymś normalnym, prawie codziennym, a ich realizacja będzie wyrazem naszego duchowego rozwoju. Nie do przyjęcia jest pogląd, że w interesie porządku w kościele wszelkie wizje są zarezerwowane tylko dla przywódców, a ogół ma je po prostu pod ich kierownictwem realizować. Przeczy temu wiele biblijnych przykładów, nauka Nowego Testamentu i bieżąca praktyka w zdrowych duchowo społecznościach. Jeśli jednak duchowe zdrowie w jakimś środowisku szwankuje, wyłania się problem, polegający na tym, że różnorodne osobiste wizje są z sobą niezgodne, co powoduje różne tarcia, konflikty i podziały.

— Jak tego uniknąć? — Na przestrzeni dziejów chrześcijaństwa obmyślono i próbowano rozwiązywać ten problem na niezliczoną ilość sposobów, na ogół jednak bez zadowalających rezultatów. Sposoby te są tym gorsze, im bardziej odbiegają od wskazówek Pisma Świętego, i tym lepsze, im wierniej bazują na Słowie Bożym. Jeśli więc ktoś się rozwija i otrzymuje od Pana jakąś wizję, kluczową sprawą jest to, co on z tą wizją robi — jak ją zużytkuje dla siebie i dla kościoła. Jeśli chodzi o element osobisty wizji, to można go wdroyć na ogół względnie łatwo, korygując po prostu swoje własne postępowanie w myśl tej wizji. Czasami nawet i to może być trudne i doprowadzić do konfliktu z otoczeniem, ale takimi przypadkami nie będziemy się na tym miejscu zajmować, gdyż stanowią one oddzielny temat.

Często jednak wizja nasza ma także aspekt zbiorowy, a nie rzadko taki właśnie aspekt może w niej dominować. Ogólnie mówiąc, dochodzimy do wniosku, że chrześcijanie powinni postępować w jakiejś sprawie inaczej niż postępują, przy czym zmiana postępowania w tej sprawie może zaowocować bardzo wielkim błogosławieństwem duchowym, a jej brak może doprowadzić do zgubnych skutków. Dla tego, kto otrzymał daną wizję, sprawa jest zwykle całkiem oczywista, uważa więc, że taka sama powinna też być dla ogółu wspólnoty. Zaczyna więc z entuzjazmem dzielić się z innymi swoją wizją w przekonaniu, że niebawem nastąpią bardzo znaczące, przełomowe zmiany.

I tu z reguły nastawiona jest na nas pułapka. Spotyka nas bardzo przykra niespodzianka. Okazuje się mianowicie, że nasz entuzjazm nikomu się nie udzielił. Nie dość tego, stwierdzamy, że prawie nikt nie zrozumiał do końca, o co nam chodzi, wszyscy pozostali obojętni, a na domiar złego pojawiły się bardziej lub mniej zdecydowane opinie krytyczne. Nasza inicjatywa okazała się niewypałem. Z biegiem czasu brak zrozumienia może jeszcze się pogłębić, kiedy okazuje się, że podążając za swoją wizją coraz częściej zderzamy się z innymi, którzy zdają się podążać w nieco innym lub nawet zupełnie innym kierunku.



To jest miejsce i moment, w którym albo wpadniemy w pułapkę zniechęcenia, albo jej unikniemy. Zależy to od postawy, jaką zajmiemy.

Przyjrzyjmy się najpierw pierwszej z tych możliwości, która niestety wydaje się występować częściej, nawet znacznie częściej. Na początek ogarnia nas poczucie zawodu, porażki. „Jak można nie rozumieć czegoś tak prostego?” Jesteśmy zniecierpliwieni i poirytowani. Nie zrozumiano nas. Ale nasza wizja pochodzi niewątpliwie od Boga. A więc nie zrozumiano woli Bożej. „Nasi bracia i siostry podążają w złym kierunku. Pozbawiają się przez to wspaniałych błogosławieństw, a ściągają na siebie zgubne następstwa. Winni tego są ci, którzy powiedzieli »nie«. Szczególnie ten i tamten. Oni prowadzą wszystkich na manowce. Trzeba innych przed nimi ostrzegać. Trzeba ratować, co się da. Ale właściwie przeciw są prawie wszyscy. A więc cała ta wspólnota zmierza do duchowego upadku. Tu już nie ma żadnej szansy na naprawę. Bóg już ich odrzucił.” I tak dalej i dalej.

Wszystko to rozwija się powoli i stopniowo. Najpierw jest wewnętrzne rozczarowanie i smutek, z którym zmagamy się sami. Potem zaczynamy wyrażać to przed innymi. Po pewnym czasie stajemy się znani ze swoich krytycznych uwag. To powoduje, że inni nas unikają lub usuwają od pewnych spraw. To z kolei wywołuje w nas poczucie krzywdy i stanowi dla nas nowe „dowody słuszności” naszego stanowiska. Nasz krytycyzm narasta, przechodzi w zgorzknienie i depresję. Pewnych osób zaczynamy unikać. Stopniowo rzeczy negatywne zajmują całe pole widzenia. Już niczego dobrego nie jesteśmy w stanie zobaczyć w danym człowieku czy grupie ludzi, niczego dobrego o nich powiedzieć. Wpadliśmy w syndrom całkowitej negacji.

Zjawisko takie ma różny zasięg i różne postacie końcowe. Czasem wpada w to pojedyncza osoba, czasem rodzina czy większa grupa ludzi, a nawet cała wspólnota. Można by wymieniać nawet z nazwiska usługujących, niegdyś owocnych i cenionych, a teraz wyeliminowanych z konstruktywnej pracy. Usługa takich osób, o ile jeszcze są do niej dopuszczani, ma różny charakter. Obserwujemy liczne warianty. Niektórzy robią wrażenie mocno zagniewanych na adresatów swoich krytycznych aluzji, inni operują ironią i sarkazmem, usiłując ośmieszyć reprezentantów atakowanego przez nich zła, jeszcze inni ograniczają się do cierpkiego utyskiwania lub dają wyraz swojemu przygnębieniu i swojej rozpaczycy nad rozwojem wydarzeń. Niezależnie od wariantu, rezultatem takiej usługi człowieka, będącego w pułapce zniechęcenia, jest zawsze to, że jego osobiste zgorzknienie i frustracja mniej lub bardziej udzielają się słuchaczom.

Inną postacią końcową będących w tej pułapce jest całkowite usunięcie się ze społeczności. Niektórzy przechodzą do innej, inni zakładają własną, a jeszcze inni zrywają kontakty z ludem Bożym całkowicie,

na skutek czego ich życie duchowe z czasem praktycznie zamiera. Nie rzadko jedna sfrustrowana osoba wciąga do takiej izolacji całą swoją rodzinę, narażając na duchowy marazm także współmałżonka i dzieci. Liczba ofiar tego schorzenia nie jest bynajmniej bagatelna. W takich zaawansowanych stadiach nie chodzi już o samo zniechęcenie, lecz o bardzo ciężkie przypadki duchowej zapaści o fatalnych skutkach.

— Jak więc można ominąć tę pułapkę i uniknąć tak poważnych i niszczących następstw? — Przede wszystkim trzeba jednoznacznie i z całym naciskiem stwierdzić, że kto wpada w tę pułapkę, sam ponosi za to winę, i to niezależnie od tego, jak wielkiej wagi jest jego wizja, którą się kieruje, albo jak bardzo złe jest postępowanie tych, którzy jej się przeciwstawiają. Można być pewnym, że to stwierdzenie wywoła sprzeciw i zdecydowane protesty wszystkich tych, którzy wpadli w tę pułapkę, gdyż są święcie przekonani o szczerości swoich motywów i ewidentnej winie swoich adwersarzy. Trudno, jeśli nie chcesz, to nie czytaj dalej tego artykułu i tkwij nadal w swoich pretensjach i zarzutach do innych, zgryzając się i marniejąc duchowo. Jeśli jednak masz już takiego życia dosyć, to poskrom swoje emocje i czytaj w pokorze dalej, gdyż może właśnie teraz będziesz mógł się z tego wydostać.

Jako dzieci Boże, uczniowie Chrystusa, jesteśmy powołani do kroczenia Jego śladami i kontynuowania tego dzieła, które On zapoczątkował. Dziełem tym, mówiąc bardzo skrótowo, jest zmuszanie wszelkiej myśli do poddania się w posłuszeństwo Chrystusowi (2Ko 10:3–5). Wiąże się to z różnymi przeciwnościami i wymaga od nas wielu ofiar. Jedną z tych przeciwności jest niezrozumienie tych, którym usługujemy, a jedną z tych naszych ofiar jest znoszenie tego faktu w sposób, w jaki znosił go Chrystus.

A zatem każde dziecko Boże, które otrzymuje od Pana jakąś wizję, może czuć się uprzywilejowane, ale jednocześnie powinno mieć świadomość, że zostaje obarczone odpowiedzialnością. Wizji towarzyszy brzemię. Głoszenie otrzymanej wizji i jej realizacja wymaga z reguły wyrzeczeń i ofiar, nie rzadko ucisków, udręk i cierpień, a czasem nawet zdrowia lub życia. W armii Pana wszystko może się wydarzyć, gdyż jesteśmy nie na uroczystej defiladzie, lecz w zażartych bojach. Boży i nasz przeciwnik zrobi z pewnością wszystko, aby Bożą wizję zniszczyć.

Mówiąc bardziej prozaicznie, sprzeciwy, na jakie napotykamy w trakcie dzielenia się naszą wizją i jej realizacji są jak najbardziej normalne i za takie powinniśmy je uważać. Jeśli tak się nastawimy, unikniemy rozczarowań i frustracji. Aby darowana nam wizja mogła być przekazywana dalej i realizowana, wymagane są nasze ofiary. Nikt duchowy nie może przyjąć naszej wizji tylko dlatego, że mu o niej powiemy, a już na pewno nie przez nasze usilne nalegania lub naciski. Zdrowy chrześcijanin przyjmie czyjąś wizję dopiero wtedy, gdy

przekona się i upewni, że stanowi ona Bożą wolę względem niego. Dlatego osoba posiadająca wizję winna przede wszystkim skoncentrować się na swojej własnej kondycji duchowej, gdyż to od niej zależy, czy będzie mogła przekazać treść wizji innym dzieciom Bożym. Wizja dopiero wtedy zacznie docierać do innych, kiedy głoszący stanie się autentycznym narzędziem Ducha Świętego, z którego wydobędzie się „ożywcze tchnienie”, które duchowo ożywi słuchaczy.

Nie jest więc istotna argumentacja, przekonywanie i naleganie, lecz wpływ żywego Słowa i własnego życia, który sprawi, że adresaci naszej usługi zostaną przekonani, że dana zmiana, dany sposób postępowania jest właściwy i konieczny. Wymaga to systematycznego, długotrwałego przygotowania modlitewnego, w wyniku którego jesteśmy stopniowo przeobrażani na podobieństwo Chrystusa do tej pory, dopóki Jego życie nie wypływa z nas z siłą wystarczającą na to, aby przełamać duchowe bariery i opory. Chodzi o walkę w swojej istocie duchową, gdyż to bóg tego świata otepia i zaślepia umysły ludzi, co zamyka ich na przyjęcie prawdy (2Ko 3:14; 2Ko 4:3,4).

Najpierw więc nasza wizja musi urzeczywistnić się w całej pełni w naszym własnym życiu i przemienić je w tej mierze, że obserwujący nas zostaną przekonani naocznie o wielkiej wartości naszej wizji i wspaniałych skutkach jej realizacji. Dopóki tak się nie dzieje, nie mamy innego wyjścia, jak tylko przypisać winę samym sobie za to, że jeszcze nie potrafimy usłużyć innym tak skutecznie jak Chrystus, że jeszcze mają powód do gorszenia się nami lub ignorowania nas.

Podejście takie z pewnością nie będzie atrakcyjne dla naszego starożytnego, cielesnego człowieka. Ale oskarżając innych za niepowodzenie naszej usługi, ujawniamy właśnie, że żyje w nas stary człowiek, który zamiast służyć w pokorze i kłaść swoje życie za braci, woli w poczuciu wyższości sądzić ich i zarzucać im sprzeciwianie się woli Bożej. Jezus Chrystus, który jest naszym wzorem, nigdy nie irytował się na tych, którzy nie przyjmowali Jego usługi. Bóg z pewnością nie daje nikomu z nas swojej wizji po to, abyśmy rugali i besztali tych, którzy tej wizji nie podzielają lub nie mogą jej zrozumieć, abyśmy mieli do nich pretensje i odsuwali się od nich. Jeśli to robimy, stawiamy pod znakiem zapytania także samą wartość swojej wizji.

Należy też mieć na uwadze, że nigdy nasza usługa nie będzie owocna, jeżeli nasz stosunek do tych, którym usługujemy, cechuje poczucie wyższości, zarozumiałość, jakakolwiek niechęć lub jakiegokolwiek zarzuty czy pretensje. Jeśli którejkolwiek z tych rzeczy pozwalamy w sobie się rozwijać w naszym stosunku do kogokolwiek, to jesteśmy już na drodze uczynków ciała, która siłą rzeczy doprowadzi nas do zniechęcenia, a następnie do syndromu negacji. Będziemy toczyć bój

z krwią i z ciałem czyli z ludźmi zamiast z mocami ciemności, stając się przez to dla królestwa Bożego bezużyteczni, a zamiast tego powodując w nim zamieszanie. W tym stanie rzeczy to my sami jesteśmy tymi, których uniosły są otepienie i zaślepienie, a nasze własne myśli nie są poddane Chrystusowi.

Pan Jezus usługiwał bowiem wszystkim ludziom w pokorze, z szczerką i szczerą życzliwością, nikogo nie sądząc i znosząc cierpliwie wszystkie zniewagi i krzywdy. Miał świadomość, że służy cennym w oczach Bożych ludziom, będącym ofiarami diabelskiego zaślepienia, a celem tej usługi jest ich wyzwolenie. Nie znaczy to, że nie mówił prawdy, także i bardzo przykrych, ganiącej i karzącej, ale zawsze czynił to z miłością, gdyż tylko tak można było zwyciężać dobrem. Dlatego ludzie garnęli się do Niego i dlatego Jego usługa przynosiła tak wspaniałe rezultaty. Konsekwentne naśladowanie Jezusa wykluczyłoby naszą wszelką cielesną gorączkowość, a z nią także większość naszych niepowodzeń. Pójście zatem drogą biblijnych wskazówek nie tylko uchroni nas przed pułapką zniechęcenia, lecz może też doprowadzić do wielkiego przełomu w skuteczności naszego służywania.

Wszystko to ma także szerszy aspekt, dotyczący wzajemnych stosunków pomiędzy różnymi społecznościami ludu Bożego. Z reguły każda taka społeczność ma pewną wizję, którą bardzo ceni i za którą czuje się odpowiedzialna. Zadaniem i racją bytu tej społeczności jest pokorne służywanie tą wizją w duchu Chrystusowym całemu ciału Chrystusa i wzbogacanie go w ten sposób. Diabeł jednak zastawia pułapki cielesności, usiłując zamiast tego doprowadzić daną społeczność poprzez zniechęcenie do syndromu negacji, w którym dominuje przekonanie o własnej wyższości i ekskluzywności oraz lekceważenie i pogarda dla innych. Jeśli mu się to uda, ciało Chrystusa zostaje rozdarte, a posłannictwo danej społeczności udaremnione, gdyż takie nastawienie uniemożliwia przekazywanie danej wizji innym. Także w tych przypadkach jednak, jakże częstych, możliwy jest przełom — wydostanie się ze zniechęcenia i syndromu negacji, a przez to powrót członków danej społeczności do zdrowego, konstruktywnego funkcjonowania w ciele Chrystusa i skutecznego wypełniania swojego posłannictwa.

— A jeśli mimo wszystko nasza wizja nie zostanie przyjęta? — Naszym celem nie jest doprowadzenie za wszelką cenę do realizacji naszej wizji, lecz wypełnienie woli Bożej. Nie wszyscy ludzie dają posłuch danemu zwiastowaniu od Boga, nie wszyscy też są gotowi iść za Chrystusem bez zastrzeżeń. Będą zawsze tacy, którzy się sprzeciwią. Byli tacy także wśród ludzi, słuchających Jezusa, a później apostołów. Ale On nigdy nie zamartwiał się tymi, którzy Go nie przyjmowali. Przeciwnie, radował się i dziękował Ojcu za to, że pewne rzeczy zakrył przed niektórymi ludźmi. Źródłem naszej satysfakcji także nie

może być pełne powodzenie naszej usługi, lecz pełne wywiązanie się z Bożego posłannictwa. Jeśli jesteśmy pewni, że wykonujemy to, co zlecił nam nasz Pan, możemy i powinniśmy doświadczać pełni Jego radości, choćby nawet nikt nie rozumiał i nie przyjmował naszej wizji.

Wynika z tego, że każda frustracja, każde zniechęcenie ma swoje źródło w naszej cielesności i niedojrzałości duchowej. Bóg bowiem nigdy nie jest pokonany, nigdy zniechęcony, nigdy sfrustrowany. Jego wspaniały plan realizuje się bez przerwy i Jego wspaniałe cele zostaną w stu procentach osiągnięte. Będąc po Jego stronie, możemy być absolutnie pewni ostatecznego zwycięstwa, a każda cząstkowa bitwa, bez względu na to, czy w naszym mniemaniu wygrana, czy przegrana, jest kolejnym krokiem w stronę tego zwycięstwa. Jeśli zajmiemy taką postawę, unikniemy zniechęcenia, wyzwolimy się z niego, o ile ono już nas ogarnęło, i będziemy mogli zawsze i wszędzie, niezależnie od widzialnych okoliczności, wykrzykiwać wraz z psalmistą: „**Prawica Pana podniesiona, prawica Pana odnosi zwycięstwo**” (Ps 118:16). A taka nasza postawa wiary sprawi, że będzie się to stawać coraz bardziej widoczne także w sferze widzialnej.

J. K.

## **Burzenie warowni w życiu kościoła**

W końcowych latach ubiegłego tysiąclecia dotarły na nasz polski teren wieści i nauczania, związane z potężnym Bożym ogólnościowym poruszeniem duchowym, zwanym potocznie Trzecią Falą. Tak jak wszędzie, zwiastowanie to także i u nas ożywiło i zapaliło pokazną liczbę ludzi ewangelicznie wierzących, od wielu lat tęskniących za mocnym duchowym ożywieniem w Polsce i usilnie proszących o to Boga. Zapaleni tym ogniem nasilili swoje modlitwy i podjęli współdziałanie i różne inicjatywy, zmierzające do duchowego ożywienia kościoła i społeczeństwa. Nie można było inaczej, któż bowiem odrzuciłby to, czego wypatrywał i o co wołał do Boga przez całe dziesięciolecia?

Początkowo rezultaty tych działań były bardzo zachęcające. Aż zdumiewało ożywienie i spontaniczność, zaangażowanie i ofiarność szczególnie młodych ludzi, którzy w oczach starszego pokolenia uchodzili tradycyjnie za mniej duchowych, a za to bardziej podatnych na wpływy świata. Wszystko bowiem wskazywało na to, że oto nareszcie znacznie się zmniejszą i w końcu zniknie powszechnie widoczna przepastna różnica między biblijnym wzorcem chrześcijanina i kościoła, a ich oglądaną na co dzień realizacją. Wydawało się, że nareszcie środowisko ewangeliczne w Polsce przemówi jednym głosem i że nareszcie głos ten stanie się słyszalny w społeczeństwie, co da początek pozytywnym przemianom, tak bardzo koniecznym i pożądanym.

Jednak ten zachęcający i imponujący początek trwał bardzo krótko. Jak można się było spodziewać, szatan przystąpił do kontryfensywy. Czego natomiast mało kto się spodziewał, było to, że ta szatańska kontryfensywa ruszyła z terenu kościoła. Gwałtowne ataki na te spontaniczne oddolne inicjatywy w postaci spotkań, modlitw i różnych działań pojawiły się z inicjatywy przywódców kościelnych, przeważnie starszego pokolenia. Poprzedzał je dłuższy okres sporadycznego ironizowania, uszczypliwych aluzji i lekceważących uwag, wskazujący na to, że w umysłach licznych liderów narastała stopniowo postawa rywalizacji, obcości i konfrontacji, spowodowana niezdolnością pogodzenia się z tym, że to nie oni są inicjatorami tych działań, nie oni nimi kierują i nie oni odbierają za to uznanie.

W wyniku tych gwałtownych natarć słownych wytworzyła się sytuacja tragikomiczna. Młodzi ludzie w niektórych zborach byli napiętnowani, karani dyscyplinarnie, a nawet wyłączani przez swoich starszych współbraci w wierze za modlitwy, za post lub za wzmianki o przebudzeniu. Dostarczyliśmy diabłu okazji do świetnej rozrywki. Można było się załamać, widząc coś takiego. Całe szczęście, że Bóg przygotował nas na to przynajmniej po części przez tekst Ricka Joynera pt. „Zastępy piekielne maszerują”, który mówił o takich właśnie dziwnych koligacjach duchowych, a ukazał się po polsku na krótko przed tymi wydarzeniami. Diabeł jeszcze raz popisał się swoim kunsztem. Trzeba jednak wiedzieć, że nie jest to niczym odosobnionym. W historii kościoła zjawiska takie są bardziej regułą niż wyjątkiem.

Ataki te ujawniły, że nasz nieprzyjaciel jest znacznie lepiej obwarowany i znajduje się znacznie bliżej, niż się spodziewaliśmy. Okazało się całkiem iluzoryczne, przynajmniej na tym etapie, atakowanie jego warowni nad krajem czy nad miastami, skoro jemu całkiem dobrze powodzi się w naszych własnych szeregach i jest w stanie bez trudu stordedować każde nasze działanie. Okazało się, że nie ma na razie mowy o zgodnym współdziałaniu całego środowiska ewangelicznego, gdyż mentalność ekskluzywizmu i separatyzmu wyznaniowego góruje nad świadomością wspólnej tożsamości jako dzieci Bożych, uczniów Chrystusa. Okazało się także niewykonalne prowadzenie zgodnych działań w obrębie jednej denominacji, gdyż różne podejścia i frakcje zderzają się z sobą na tyle mocno, że wywołuje to paraliż. Okazało się ponadto, że nawet w zakresie jednego zboru zdania i oceny są na tyle zróżnicowane, że i tutaj nie można podjąć wspólnej akcji.

Brzmi to bardzo przygnębiająco, ale nie znaczy to, że ponieśliśmy klęskę. Po prostu tak wygląda rzeczywistość, w której żyjemy, a przez nasze dotychczasowe działania ona tylko ujawniła się. Jest to zatem pozytywny efekt dotychczasowych modlitw i działań. Teraz lepiej rozpoznaliśmy sytuację i jej realia. Zapoczątkowany został pewien

nieunikniony proces, który trwa do dziś i musi przebiec do końca. W tym procesie niektóre zbory zmieniają swoją przynależność denominacyjną, swoje przywództwo czy formy organizacyjne, inne stanęły w obliczu podziału, jeszcze inne w różnych sytuacjach patowych. Są podobno i takie, które praktycznie przestały nawet istnieć. Stan ten powoduje liczne dramaty i stesy, toteż są tacy, którzy są tym zrozpaczeni, ale jest to konieczne. To, co nie jest zbudowane na solidnym fundamencie, będzie ulegać wstrząsom i rozpadać się — i tak być powinno. Ostoi się tylko to, czym wstrząsnąć nie można (Hbr 12:26,27).

A więc, chwilowo zmieniło się pole walki. Zanim aktualna i skuteczna stanie się nasza walka o miasta czy kraj, musi zostać stoczona walka na terenie kościoła. Z ociążałego starca ogarniętego paraliżem musi on przeistoczyć się w prężny organizm zdolny do duchowych walk i zwyciężania. Droga do tego prowadzi przez uczciwe i konsekwentne rozprawienie się z przeszłością, co wymaga obiektywnej oceny i rzetelnych wniosków. Szczęśliwi są ci, którzy z racji swojego młodego wieku mogą czuć się od tego zwolnieni. Gorzej z nami, którzy przez dziesiątki lat współtworzyliśmy kościół, gdyż nikt nie zdejmie z nas współodpowiedzialności za jego dzisiejszą kondycję.

Zarówno w świetle Pisma Świętego, jak i powszechnie uznawanej racji, ocena kościoła i ludzi w nim działających musi przebiegać dwutorowo. Bóg nigdy nie pomija ani cech dodatnich, ani ujemnych. Jego ocena różnych wydarzeń, procesów i ludzi jest zawsze wszechstronna i dogłębna. My także nie unikniemy takiego obustronnego spojrzenia na fakty. Wyrażamy się z głębokim szacunkiem i pietyzmem, i słusznie, o minionych pokoleniach przywódców kościoła, którzy służyli Bogu wytrwale w okolicznościach niezmiernie trudnych pod wieloma względami, borykających się z potrzebami materialnymi, poniewieranych przez wojenne zawieruchy, stawiających czoła przejawom niezrozumienia i wrogości ze strony wyznawców powszechnie panującej religii, znoszących naciski i szykany ze strony władz. Dzięki nim kościół przetrwał przeciwności i istnieje do dziś. Należy im się wdzięczność i otrzymają z rąk Głowy kościoła sowitą nagrodę.

Nie wszystko jednak wygląda tak pięknie. W Starym Testamencie występuje bardzo znamienna postać: kapłan Heli (1Sm 1–4). Można o nim powiedzieć wiele dobrego, ale też nie ukrywa Pismo jego niedociągnięć ani faktu, że ponosił on współodpowiedzialność za złą kondycję duchową ludu Bożego. Potrzeba było mówić o rzeczach przykrych, ponieważ były one przyczyną tragicznego stanu, w jakim znalazł się lud Boży i wyjście z tego stanu wymagało poznania i zajęcia się tą przyczyną. A to samo dotyczy i nas.

— Czy rzeczywiście? Czy ma sens odgrzebywać i przypominać

grzechy przeszłości? Czy nie lepiej o tym wszystkim po prostu zapomnieć, pociągnąć grubą kreskę i zająć się dniem dzisiejszym? — Z pytaniem tym zmagalem się przez szereg miesięcy i dlatego kolejny numer „Do Celu” ukazuje się po tak długim czasie. Jednak fakt zamkniętego nieba nad naszym kościołem i krajem ma swoje przyczyny, a jego otwarcie, które jest dla nas sprawą życia i śmierci, ma swoje warunki. Warunki uzdrowienia chorego kościoła są w gruncie rzeczy takie same, jak uzdrowienia chorej ziemi (2Kn 7:13–15). Aby niebo ponownie otworzyło się nad nami, musimy zapłacić cenę, a cena ta obejmuje także naszą przeszłość. Ta przeszłość bowiem nas ukształtowała i rzutuje na nasz dzisiejszy sposób myślenia i postępowania. Owszem, należy pociągnąć grubą kreskę i przestać wracać do przeszłości, ale dopiero po rozprawieniu się z nią w myśl Bożych wskazówek. Stawka jest zbyt wysoka na to, aby można było kontynuować zmlowę milczenia wokół różnych bolączek przeszłości.

Dzisiejsze zróżnicowanie i niezdolność do wzajemnej współpracy w kościele na skutek niezgodności zrozumienia nie są niczym nowym. Od zarania historii dzisiejszych zborów ewangelicznych ścierały się w nich różne podejścia do wielu zagadnień. Poszczególni przywódcy, których Bóg w niekwestionowany sposób używał, nie byli zdolni współdziałać z sobą, żywiąc wobec siebie liczne zarzuty o sprawy, które uważali za fundamentalne. Na ogół ich zimne stosunki trwały do końca ich życia. Przenosiło się to na prowadzone przez nich zbory, utrwalając mentalność odszczepieństwa. Na pewnej naradzie braterskiej, gdzie po raz kolejny dwie wiodące osobistości wdały się z sobą w polemiczną wymianę zdań, jeden z obecnych młodszych braci powiedział do nich: „Ja się tylko modlę, aby do mojego serca nie przyłgnęło nic z tego kramu, jaki wy macie między sobą.” Taka postawa i modlitwa godna jest gorącego polecenia wszystkim młodym (i nie tylko) chrześcijanom, którzy kiedykolwiek zetkną się ze swoimi starszymi (i nie tylko) braćmi, prowadzącymi z sobą bezsensowne, haniebne spory.

Tego typu wzajemne stosunki miały podłoże duchowe. Szatanowi udało się przekonać tych braci, że taka postawa jest konieczna w interesie czystości wiary i duchowego zdrowia. Istniały jednak ponadto wzajemne animozje znacznie gorsze jeszcze w skutkach, gdyż wynikające tylko z cielesności, egoizmu i dbałości o osobiste interesy. Wyobraźmy sobie taką sytuację: W 750-tysięcznym mieście istnieje zbor pewnej denominacji ewangelicznej, liczący około 20 osób. Pewien kaznodzieja tego samego wyznania postanawia zamieszkać i pracować w tym mieście. Można by przypuszczać, że garstka ewangelicznie wierzących powita go z radością w nadziei, że razem praca pójdzie raźniej. Nic podobnego. W przywództwie tego małego zboru zapanowała konsternacja i strach. Zastosowano wobec tego „intruza” wszelkie moż-



liwe prośby i groźby, aby odwieść go od zamiaru osiedlenia się w tym mieście. Rywalizacja przywódców przybierała różne postacie. Były przypadki, gdzie posunięto się nawet do donosów na rywali do władz komunistycznych.

W okresie komunizmu wielką pułapką dla przywódców była tak zwana pomoc zagraniczna. Wierzący z Zachodu chętnie jej udzielali, nie zdając sobie sprawy z jej niszczących nieraz skutków ubocznych. Wszelkie takie kontakty z Zachodem były bowiem z racji ówczesnych stosunków politycznych podejrzane i naganne. Zmuszało to przywódców do przyjmowania tej pomocy w tajemnicy, nie tylko przed władzami, lecz i przed własnymi zborami. Niekontrolowane przez nikogo dysponowanie liderów nieraz znacznymi środkami było sidłem dla nich samych, a ponadto źródłem podejrzeń, zazdrości i pomówień. Była to brama, przez którą do zborów wlewała się szerokim strumieniem ciemność, wzajemna nieufność i obcość. Uniemożliwiało to biblijną wspólnotę i było przyczyną powstania kasty uprzywilejowanej, która bała się reszty członków jako potencjalnego zagrożenia, a reszcie członków odbierało możliwość jakiegokolwiek nie tylko wpływu na przebieg spraw zborowych, ale nawet wglądu w nie.

Na przykład zdarzyło się tak, że zbor został zaproszony na nabożeństwo do nowego obiektu, o którym niczego wcześniej nie słyszał. Na nabożeństwie inauguracyjnym wierni dowiedzieli się tylko tyle, że to „Pan nam darował”. Kiedy jeden z członków zapytał, czyją własnością jest ten budynek, usłyszał w odpowiedzi, że mówić o tym jest jeszcze za wcześnie. Po czasie często okazywało się, że właścicielem obiektu jest osoba prywatna, mimo że został kupiony za środki od kościoła dla kościoła. Na pewnej naradzie braterskiej dotyczącej drobnego remontu w budynku kaplicy pewien starszy pracownik kościoła zaproponował, aby nie kupować materiału na ten cel, lecz zabrać go z pobliskiego państwowego placu budowy. Wniosek ten upadł, ale nie z przyczyn jego wad moralnych, lecz z powodu tego, że „koszt w sumie niewielki, a w razie wpadki olbrzymi smród”.

Kiedy pod władzą komunistyczną z biegiem czasu „żelazna kurtyna” zaczęła się nieco podnosić i wyjazdy na Zachód stawać się zaczęły łatwiejsze, zaczęli wyjeżdżać także przywódcy. — Czym przywódca kościoła ze Wschodu podzieli się ze swoimi współbraćmi z kapitalistycznego społeczeństwa konsumpcyjnego? Jakie zbudowanie duchowe im przyniesie? — Otóż bywało, że polski gość znaczną część czasu zużywał na utyskiwanie, narzekanie i użalanie się na to, jak rozpaczliwie niska jest jego pensja, jak trudno mu z niej utrzymać rodzinę, ile to jest w przeliczeniu na marki czy dolary itd. Zdarzyło się i tak, że przywódca zboru, liczącego około 15 osób, w przeddzień swojego

wyjazdu na Zachód zwołał na pędce po nabożeństwie zebranie członków, czego od lat tam nie było, na którym w ciągu 20 minut powołano do życia radę zborową, służbę wśród młodzieży, służbę wśród kobiet, służbę diakonijną i cztery placówki w okolicznych miejscowościach.

Podczas budowy kaplic, co bez pomocy zagranicznej było praktycznie nie do pomyślenia, zdarzały się przypadki celowego wprowadzania w błąd zagranicznych ofiarodawców. Na ich pytania, czy są jedynymi, którzy wspierają daną budowę, otrzymywali niekiedy odpowiedź twierdzącą, aczkolwiek pomoc napływała także od innych ofiarodawców. Pewnego razu trzech działaczy w pewnej służbie kościelnej postanowiło wyjechać na Zachód, aby w tamtejszych zborach zbierać środki na budowę obiektu dla tej służby. Po powrocie mieli się spotkać, zsumować zebrane środki i przystąpić do budowy. Jeden z nich pomyślał jednak przed tym spotkaniem, że może wystarczy pieniędzy, zebranych przez dwóch pozostałych, a wtedy on zebrane przez siebie mógłby wykorzystać na inne cele. Poszedł więc na to spotkanie bez pieniędzy. Niestety, na spotkaniu okazało się, że suma zebranych środków wynosi zero, ponieważ dwaj pozostali pomyśleli i zrobili dokładnie tak samo.

Do zborów docierała także pomoc zagraniczna w postaci różnych materiałów, które w kraju były wtedy trudno dostępne. Zdarzało się, że transport z rzeczami dla kilku zborów przywożono na jedno miejsce, prosząc miejscowego lidera o ich przekazanie pozostałym. Często jednak liderzy ci rzeczy przeznaczone dla innych pozostawiali dla siebie. I tak, zamiast 300 egzemplarzy Biblii nowego przekładu w oprawie skórkowej z zamkiem błyskawicznym dostarczono adresatom 300 Nowych Testamentów w starym przekładzie gdańskim w oprawie tekturowej. Pół tony papieru do kopiarek zeszczupłało do zaledwie pięciu ryz. Zamiast 300 kaset audio w pudełkach do nagrywania nabożeństw do adresatów dotarła reklamówka z 30 kasetami podłej jakości i bez pudełek. Tysiąc egzemplarzy Biblii wydano adresatom dopiero po energicznej interwencji zagranicznego ofiarodawcy.

Takie i tym podobne przypadki można by mnożyć, nie chodzi jednak o przypadki. Chodzi o ogólny poziom moralny, świadczący o braku bojaźni Bożej w codziennej praktyce życia kościelnego. Ta codzienna praktyka obejmuje niestety wszelkiego rodzaju postęпки niegodne chrześcijan, począwszy od takich jak podkradanie czosnku u gospodarza na wsi, poprzez takie jak ukrywanie obrotów czy dochodów przed urzędem skarbowym, aż po takie jak wielkie afery gospodarcze, nagłaśniane przez media w całym kraju. Posługiwanie się ciemnością czyli ukrywaniem jako niezbędnym narzędziem pracy było znacznie rozpowszechnione. A to siłą rzeczy wymusza stosowanie także półprawd i kłamstw. Potworzyły się nawet całe agendy pracy kościelnej, bazujące na takich wadliwych moralnie podstawach. W zarządzaniu

kościółem mało było szukania oblicza Bożego, a za to wiele dyplomacji, taktycznych manewrów, podchodów i manipulacji.

Charakter wspólnotowy kościoła musi być w takich okolicznościach nieznaną utopią. Członkowie często gorszyli się i nierzadko odchodzili. Kiedy zjawiał się ktoś, kto zyskiwał ich zaufanie, przychodzili, aby zwierzać się ze swojego bólu. To nie byli plotkarze ani obmówcy. Byli to ludzie głęboko zranieni przez niewrażliwość i apodyktyczność przywódców, i to nie z powodu doznania jakichś osobistych krzywd, lecz z powodu świadomości, jak bardzo cierpi w takich stosunkach sprawa królestwa Bożego. To byli ludzie, którzy pomimo swoich zranień i bólu pozostawali w zborach i modlili się usilnie o Boże zmiłowanie. Bo prócz nich było wiele takich, którzy nie przychodzili i nie dzielili się z nikim swoim bólem, lecz po prostu odeszli. Wokół małych zborów, rządzonych w taki sposób, ludzi takich było nieraz kilkakrotnie więcej niż tych, którzy pozostali w zborze.

Nic dziwnego, że w takich okolicznościach głoszenie ewangelii ani nie mogło przebiegać intensywnie, ani też nie mogło przynosić znaczniejszych rezultatów. Kto skąpo sieje, skąpo też zbiera. Stosunki takie można by scharakteryzować parafrazą pewnego powiedzenia z czasów PRL-u: „My udajemy, że służymy Bogu, a Bóg udaje, że naszą służbę błogosławi.” Ale nasz wzrok jest tak przytępiony, że wydaje nam się, iż wszystko jest normalne. Ci, którzy są zdania, że spraw takich nie należy poruszać i że takie postawy, przypominające postawę Heli’ego i postęпки jego synów, są czymś normalnym, gdyż „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą” oraz „z czym kto pracuje, tym ubrudzi ręce”, winni zważyć, że w takim razie za normalne trzeba także uznać klęski na polach bitwy, pozostawanie Skrzyni Przymierza w obozie nieprzyjaciela, a także „Ikabod” — nieobecność Bożej chwały (1Sm 4:17–22).

W czasie przebudzenia charyzmatycznego na przełomie lat 70-tych i 80-tych otworzyły się przed zielonoświątkowcami kościoły katolickie, klasztory i seminaria duchowne, a klerycy i księża przychodzili na spotkania zborowe, jednak bardzo niewiele mieliśmy im do zaoferowania. Także w zestawieniu z chrześcijanami innych krajów wierzący i liderzy z Polski wypadali z reguły bardzo blado, wręcz kompromitująco. Tacy ludzie jak Dawid Jongi Czo czy Reinhard Bonnke mimo zaproszeń nigdy nie odebrali od Boga wolności przyjazdu do Polski. Podczas gdy my wynosimy się, dbając o swoje prywatne interesy i uprawiając dyplomację religijną, chrześcijanie krajów Trzeciego Świata nie tylko wyprzedzili nas, ale już całkiem zdeklasowali.

Tak, cięży nad naszym krajem pewien rodzaj przekleństwa, a jego korzenie i przyczyny sięgają kościoła w tym kraju. Jeśli jest gdzieś ciemno, pytamy o światło. Jeśli jest gdzieś zimno, pytamy, gdzie jest

grzejnik. Jeśli w naszym kraju kwitnie korupcja i niemoralność, a wiele naszych ziomeków cierpi w niewoli nałogów, zaś cześć zamiast Bogu oddawana jest przeważnie obrazom, figurom i ludziom, to zasadne jest pytanie, gdzie był i jest lud Boży, że mogło do tego dojść? Ten kraj obłożony jest klątwą z naszej przyczyny. Każde wypowiedziane przez nas kłamstwo, każda popełniona po kryjomu niegodziwość, każde otwarcie ust do mówienia źle o braciach, każde zamknięcie ust by nie złożyć świadectwa, każda nawet nie poddana pod autorytet Chrystusa myśl utwierdza moc ciemności i umacnia miedziane niebo nad naszymi głowami. Zgodnie ze Słowem Bożym jesteśmy solą ziemi. Mimo woli jednak w obliczu istniejącego stanu wyrwa się z piersi okrzyk: „Nieszczęsna ziemi, która masz taką sól!”

Kiedy rozpoczęła się wspomniana na początku kampania przeciwko załączkom niektórych ruchów odnowy, zadano jednemu z jej inicjatorów pytanie, jaki ma sens takie strzelanie goli do własnej bramki. Odpowiedź brzmiała, że nie jest to własna bramka ani ta sama drużyna, ani nawet ta sama liga. Uważam, że jest to niezwykle celne porównanie, bardzo trafnie charakteryzujące naszą aktualną rzeczywistość. Gdzież nam wpływać ozdrowieńczo na stan moralny społeczeństwa, jeśli sami mamy kłopoty z elementarną prawdomównością i uczciwością? Gdzież nam reprezentować przed światem niebiańską jakość życia nowego stworzenia, jeśli nawet u ludzi niewierzących nasze postępowanie budzi zgorszenie? Gdzież nam atakować moce ciemności na powietrzu, jeśli dajemy im miejsce i nie jesteśmy w stanie rozprawić się z nimi na własnym podwórku? Za to nie brakuje nam zadowolenia z siebie, zarozumiałości i arogancji. Za jednym zamachem potrafimy sponiewierać słownie człowieka, którego Bóg używa od wielu lat w skali ogólnoswiatowej. Jednym tchem jesteśmy w stanie mieszać z błotem sposób usługiwania, dzięki któremu miliony ludzi doprowadzonych zostało do Chrystusa. Jednym zdaniem umiemy przekreślić i zdeptać wieloletnie Boże działanie w jakimś kraju lub nawet na całym kontynencie. Boże, zmiłuj się nad nami!

W tym stanie rzeczy najważniejszą i najbardziej palącą sprawą obecnej chwili wydaje się być głęboka ogólna pokuta za grzechy popełnione w kościele. Jest to jedyny sposób uwolnienia się od tego koszmarnego brzemienia przeszłości. Kiedy te sprawy rozważałem, zobaczyłem obraz człowieka przygniecionego pod podłogą wielkiej szopy czy stodoły z poczerniałych od wpływów atmosferycznych desek, usiłującego podnieść się i wyprostować, było to jednak niemożliwe, gdyż cały ciężar tej starej i chwiejącej się budowli spoczywał na jego barkach i podnosząc się dźwigał ją całą. Zrozumiałem, że lud Boży nie zdoła się podnieść i wyprostować, jeśli nie pozbędzie się tego balastu. A pozbyć się go można tylko przez szczerę i całkowite ukorzenie się przed

Bogiem. Niewątpliwie w innym sensie przygniata ta budowla kogoś, kto działał i działa według zasady, że cel uświęca środki, i ani myśli pokutować, a sugestia taka wywołuje jego irytację, a w innym sensie kogoś, kto ciągle wraca myślami i wylicza wyrządzone mu w kościele krzywdy. Ale obie te postawy są powodem duchowego zastoju, i to zarówno danych osób, jak i ludu Bożego w ogólności.

Rzecz oczywista, że pokuta taka nie może polegać na wyszukiwaniu i napiętnowaniu winnych, lecz musi rozpocząć się od pełnego utożsamienia się z kościołem jako całością — wzięcia na siebie współodpowiedzialności za jego aktualny stan. Nic nie da, a raczej udaremni sprawę dowodzenie, że przecież to nie ja robiłem to czy tamto, albo że moja wina nie jest tak wielka, jak wina tego czy tamtego. Obłudą byłoby także pokutowanie za grzechy przodków przy jednoczesnym pozostawianiu w tej samej co oni mentalności i przy tych samych sposobach postępowania. Stanowimy lud Boży w tym kraju i winniśmy w interesie Bożego uzdrowienia nas utożsamić się z tym wszystkim, czym przewinniliśmy się jako całość w oczach Bożych. Nie zmienia tego faktu okoliczność, że być może każdy z nas w innym stopniu albo nawet w innym sensie lub w innej roli czuje się związany z tą budowlą. Niezależnie od tego, czy byłeś krzywdzicielem, czy też czułeś się skrzywdzonym, powinieneś odsunąć na bok własny interes, a zająć postawę, będącą w interesie kościoła jako całości. To wyklucza wszelkie wzajemne oskarżenia i pretensje, a wymaga ukorzenia się nawet za to, z czym osobiście nie mieliśmy nic wspólnego.

Rozważając te sprawy kierowany byłem w stronę mojej własnej winy za istniejący stan. Od bardzo długiego czasu Pan pokazywał mi zjawiska ujemne w życiu kościoła. Ale co ja z tym poznałem? Napiętnowałem wiele spraw w sposób, który nie prowadził do żadnych pozytywnych rezultatów. W roku 1979 powierzono mi opracowanie na Dni Skupienia dla pracowników kościoła wykładu na temat stosunku chrześcijan do dóbr materialnych. Wykorzystałem to jako okazję do dosadnego wygarnięcia wszystkich różnorodnych przejawów zła. Wreszcie miałem możliwość dać upust moim odczuciom. W poczuciu wyższości i w duchu zarozumiałości grzmiałem przeciwko popełnianym grzechom ironizując i ośmieszając niektóre praktyki. To nie było stanięcie w wyłomie, to nie było położenie swojej duszy za braci. Dlatego moje wystąpienie wywołało tylko konsternację i niesmak, niczego nie zmieniając. I cóż z tego, że byłem krytycznie nastawiony do niektórych złych rzeczy i że czasem z myślącymi podobnie jak ja ponarzekaliśmy nad tym wspólnie, jeśli niczego to nie zmieniło? O niektórych innych moich grzechach, które Pan surowo osądził, pisałem już wcześniej na innym miejscu. Dlatego czuję się w pełni współwinny wszystkiego, co działo się w kościele, ponieważ już przez ponad 30 lat

miałem przywilej go współtworzyć, toteż także i z mojego powodu jest on dzisiaj taki, jaki jest.

Że sprawa jest nader poważna i że skończyły się wszelkie przelewki, jest dla mnie aż nadto jasne. Przede mną leży klepsydra, zawiadamiająca o śmierci naszego zięcia Marka, 42-letniego pracownika kościoła. Zginął w wypadku samochodowym w czasie pełnienia swoich obowiązków służbowych. Nasza córka została wdową, a troje naszych wnucząt pólsierotami. Jestem całkiem pewny i nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że Marek był dzieckiem Bożym i że jest teraz u Pana. Ale tak samo jestem całkiem pewny i nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że jego śmierć jest częścią sądu Bożego nad Bożym domem, którym jest jego kościół (1Pt 4:17). Słowo Boże mówi nam wyraźnie: „**Dlatego jest między wami wielu chorych i słabych, a nie-mało zasnęło, bo gdybyście sami siebie osądzali, nie podlegalibyście sądowi**” (1Ko 11:30,31). W kraju naszym trwa od dłuższego już czasu intensywna walka modlitewna, która się coraz bardziej nasila. Wołamy do Boga o jego objawienie się w chwale. I On wysłuchuje i przychodzi. Ale nie przyjdzie do śmieci i brudu. Z tym najpierw musi się rozprawić. Pierwszymi więc oznakami Jego przyjscia są i będą oznaki oczyszczające nas sądu.

Możemy tego uniknąć oczyszczając i osądzając się sami. Jeśli jednak w swojej zatwardziałości i zarozumiałości tego nie zrobimy, będą się pojawiać kolejne klepsydry i ręka Boża zaciąży nad nami. Śmierć Marka wstrząsnęła nami, a mnie osobiście poprzez ten wstrząs Bóg objawił całą rozległą dziedzinę życia, nie do końca poddaną w posłuszeństwo Chrystusowi. Jest to bolesne, ale jest to konieczne i pożądane dla tych, którzy pragną widzieć objawienie się chwały Bożej i są zdecydowani zapłacić za to każdą cenę. Słowo Boże mówi: „**Niech umilknie przed Panem wszelkie ciało, gdyż Pan już rusza ze swojego miejsca świętego**” (Za 2:17). A na innym miejscu: „**I poznają wszystkie zbory, że Ja jestem Ten, który bada nerki i serca...**” (Obj 2:23).

— Ale miało być o burzeniu warowni. Jakie to warownie? — Warownie to dzieła diabelskie, które należy zburzyć, jeśli chcemy cieszyć się duchową wolnością i jeśli kościół ma być zdrowy i zwycięski. I choć te warownie są dziełem nadziemskich władz i zwierzchności, nie potrzebujemy nigdzie się wspinać, aby je zaatakować, gdyż znajdują się one całkiem blisko: w naszych własnych, chrześcijan umysłach. Ich istotą jest przyćmienie naszych umysłów, polegające na tym, że nie dostrzegamy ogromnej rozbieżności pomiędzy biblijnymi wzorcami postępowania chrześcijaństwa, a ich praktyczną realizacją w naszym codziennym życiu, a ponadto nie dostrzegamy fatalnych, zgubnych skutków tych rozbieżności na naszą duchową kondycję i skuteczność

naszych działań. Chodzi o całą masę różnych szczegółów, z których jednakże najważniejszymi są wzajemne stosunki i głoszenie ewangelii. Zburzenie tych warowni to po prostu wyrwanie się z duchowego zaślepienia i wyraźne przejrzenie naszym duchowym wzrokiem.

Sprawa nie jest bynajmniej prosta. Nasze zaślepienie jest z reguły bardzo uporczywe, a jego istnienie nie dociera do naszej świadomości. Może nawet sama mowa o czymś takim oburza nas. — Co? Ja, zaślepiiony? — Nawet ci z nas, którzy są entuzjastami przebudzenia i głośno opowiadają się za przemianami w kościele, mogą być i często są zaślepieni na fakt, że swoim najróżniejszym postępowaniem, takim jak przykładowo nierzetelne wypełnienie zeznania podatkowego, trzymanie w komputerze pirackiego oprogramowania, naruszanie przepisów ruchu drogowego czy choćby tylko nie oddawanie wypożyczonych rzeczy, blokują skutecznie nadejście przebudzenia i utrwalają istniejącą duchową zapaść. Nawet gorliwi głosiciele haseł odnowy kościoła mogą tkwić w mentalności sekciarstwa i uprawiać w stosunkach z innymi zgubne uczynki ciała: wrogość, spór, knowania, waśnie, odszczepieństwo i niszczyć w ten sposób skuteczność swoich własnych wysiłków. W żywotnym interesie zarówno każdego z nas, jak i sprawy Bożej w ogólności, jest dokonanie przełomu w sposobie widzenia tych spraw i w sposobie podchodzenia do nich.

Może to nastąpić i następuje w naszym życiu tylko pod warunkiem naszego głębokiego osobistego i grupowego ukorzenia się przed Bogiem. Wymaga to usilnego, desperackiego wołania o otwarcie duchowych oczu, nie czyichś — bo do tego jesteśmy bardzo skwapliwi — lecz naszych własnych. „Tak, to nie w umyśle mojego brata, lecz właśnie w moim umyśle utrzymują się warownie nieprzyjacielskie, które należy zburzyć, gdyż powstrzymują mnie i cały lud Boży od wejścia do pełni duchowego dziedzictwa, powstrzymują też niebo przed otwarciem się nad nami.” Kiedy w takim nastawieniu szukamy oblicza Bożego, On odpowiada, a rezultatem jest to, że zaczynamy coraz wyraźniej widzieć **„jake bogactwo chwały jest udziałem świętych w dziedzictwie jego i jak nadzwyczajna jest wielkość mocy jego wobec nas”** (Ef 1:18,19) czyli, inaczej mówiąc, jak fantastyczne są nasze możliwości, kiedy nasze skruszone „ego” przestaje Bogu przeszkadzać i kiedy wreszcie może On użyć nas jako uległych Mu narzędzi, poprzez które jest w stanie objawić swoją potężną moc i chwałę.

Dobrze byłoby, aby ci, którzy czują wagę omawianej tu sprawy, pomyśleli o praktycznej stronie realizacji takiej ogólnokościelnej pokuty — czasu ukorzenia się przed Bogiem i wspólnej prośby o przebaczenie, a także wzajemnego przeproszania się i przebaczenia sobie. Nie czuję się kompetentny, aby proponować konkretne kroki w tym kierunku, nie mam też żadnych instrumentów, aby je zrealizować. Wierzę

jednak, że jeśli sprawa ta pochodzi od Ducha Świętego, to pobudzi On do działania tych, w których gestii leżą tego typu sprawy i którzy są władni podjąć niezbędne decyzje. Choćby jednak do takiego wspólnego aktu zbiorowej pokuty nie doszło, nic nie stoi na przeszkodzie, aby każdy z nas dokonał go osobiście we własnym zakresie, wstawiając się przy tym także wzorem Daniela, Jeremiasza czy Nehemiasza za całym ludem Bożym. W odpowiedzi na nasze usilne wołanie Pan działa i będzie działał, a duchowa atmosfera będzie się oczyszczać.

Jestem głęboko przekonany, że zmierzamy w tym właśnie kierunku i że jest to kierunek, wskazywany nam przez Ducha Świętego. Procesu tego nikt nie jest w stanie powstrzymać, możemy jednak sami wykluczyć się z niego i znaleźć się na mieliźnie, jeśli nie zdobędziemy się na rezygnację z własnej zarozumiałości, chęci manipulowania innymi, zajmowania jakiejś wyeksponowanej pozycji czy nadawania własnego kierunku zachodzącym zmianom. Pan pójdzie dalej zgodnie ze swoim własnym planem, a za Nim pójda ci, którzy nie mają żadnego innego celu, jak tylko iść za Nim, wyrzekając się wszystkiego, gotowi na wszystko. I ta drużyna zobaczy Boże zwycięstwa i kościół pełny chwały, dynamiczny, prężny i zwycięski, zdolny do tego, aby zmanifestować Bożą potęgę i chwałę przed oczami tego narodu. Bo Bóg w Polsce to dokładnie ten sam Bóg, który manifestuje się w Ugandzie, Chinach, Nigerii czy Brazylii. Mocno wierzę, że ten proces postępuje naprzód i będzie coraz wyraźniej widoczny. Można by przytoczyć wiele radnych faktów, dowodzących, że tak właśnie już się dzieje. Warownie złego zostaną zburzone, a Pan poprowadzi swój lud do wspaniałych zwycięstw.

J. K.

## Uwaga! Groźny wirus!

»Uwaga! To bardzo ważne!!! Niezwykle groźny wirus!!! Poinformowano mnie, że mógł do mnie trafić wirus z mailem, co okazało się prawdą. Ponieważ jesteś w mojej książce adresowej, również mogłeś go otrzymać, gdyż rozsyła się automatycznie do wszystkich adresów w książce. Wirus nazywa się jdbgmgr.exe. Nie działa na niego Norton ani McAfee. Wirus nie ujawnia się przez 14 dni, po czym niszczy stopniowo cały system, równocześnie rozsyłając się do wszystkich adresów w książce. Pozbyć się go można jednak w bardzo prosty sposób: 1. Start – Znajdź – Pliki lub Foldery; 2. Wpisać nazwę jdbgmgr.exe 3. Szukaj w: „Mój komputer” 4. Jeżeli pojawi się szukany program jdbgmgr.exe z małym szarym niedźwiedziem po lewej stronie, NIE WOLNO GO OTWIERAĆ! 5. Zaznaczyć go i nacisnąć DELETE; 6. Wejść następnie w koszyk i wyrzucić go z kosza; 7. Jeżeli znaleźliście wirusa u siebie, należy powiadomić wszystkich z książki adresowej!«

Jeśli posiadasz komputer i pocztę elektroniczną, to prawdopodobnie znasz już powyższy albo podobny tekst. Może cię przestraszył i zacząłeś szu-



kać zgodnie z tym przepisem owego groźnego wirusa, a co gorsza, znalazłeś! Wykasowałeś go pośpiesznie zgodnie z instrukcją i natychmiast rozesłałeś ostrzeżenie do wszystkich ze swojej książki adresowej. Potem miałeś poczucie dobrze spełnionego obowiązku i satysfakcję z tego, że przyczyniłeś się do zwalczania tej zgubnej informatycznej zarazy.

I pewnie już wiesz, a jeśli nie, to teraz się dowiadujesz, że zostałeś celowo wprowadzony w błąd, oszukany, zwiedziony przez kogoś, kto złośliwie i w złych zamiarach ostrzeżenie takie wymyślił i puścił w obieg. Bo ten plik nie jest wirusem, lecz jednym z ważnych składników systemu operacyjnego Windows, a ty własnoręcznie wykasowałeś go, narażając w ten sposób swój komputer na wadliwe funkcjonowanie, przez co uszkodziłeś go bardziej, niż byłby to w stanie zrobić niejeden wirus. Ponadto nakłoniłeś do takiego samoniszczącego działania wszystkich swoich przyjaciół, a pośrednio także ich przyjaciół itd., znacznie skuteczniej, niż mogłyby to zrobić prawdziwy wirus. W ten sposób w dobrej wierze i szczerości wykonałeś dokładnie to, co jakiś twój nieprzyjaciel w złej wierze i w złośliwości obmyślił przeciwko tobie i twoim przyjaciołom.

— Jak mogło do tego dojść? — Na skutek twojej łatwowierności. Po pierwsze, pozwoliłeś, że opanował cię strach przed nieznanym niebezpieczeństwem, wirusem, który po 14 dniach „niszczy stopniowo cały system”. Po drugie, uwierzyłeś pochopnie, że autor tego ostrzeżenia jest ci zyczliwy. Po trzecie, uwierzyłeś w nieskuteczność profesjonalnych programów antywirusowych, mających chronić twój komputer i twoją pocztę. I po czwarte, nie mając żadnej pewności i opierając się tylko na niczym nie uzasadnionym zaufaniu do nieznanego ci autora ostrzeżenia, zabrałeś się do masowego ostrzegania innych, autoryzując w ten sposób to ostrzeżenie swoją własną osobą. Tak twoimi własnymi działaniami mimo woli dokonałeś poważnych zniszczeń, które jakiś twój nieprzyjaciel sprytnie zaplanował przeciwko tobie i twoim bliskim.

— A jaki jest ogólny rezultat puszczenia w obieg takiego oszukańczego, zwodniczego ostrzeżenia? — Jest nim lawinowo rosnąca liczba użytkowników komputerów, zapamiętałe tropiących domniemanego wroga: wirusa jdbgmgr.exe, zapamiętałe niszczących przy tym swój własny system operacyjny i zapamiętałe zachęcających wszystkich wokół do niszczenia swoich systemów operacyjnych i do zachęcania do tego innych. A za tym wszystkim stoi niewidzialny sprawca tego wszystkiego i wróg nas wszystkich, z założonymi rękami i z dziką satysfakcją obserwujący, jak skutecznie działa jego pomysł i jak gorliwie sami niszczymy się i dopomagamy innym do zniszczenia, sądząc, że walczymy przeciwko niemu.

— A jak można było uniknąć tych zniszczeń? — Odpowiedź jest oczywista. Posłuchajmy autentycznej instrukcji fachowca, administratora serwera pocztowego, która na moje zapytanie trafiła do mojej skrzynki pocztowej:

»Ostrzeżenie takie to tak zwany pseudowirus. Plik jdbgmgr.exe nie jest wirusem lecz jednym z ważnych plików systemu operacyjnego. Skasowanie tego pliku spowoduje nieprawidłowe działanie Windows! Proszę NIGDY nie brać pod uwagę podobnych apeli, jak też PRZENIGDY nie wysyłać niepewnych wiadomości do wszystkich ze swojej książki adresowej! — Pozdrowienia, Administrator.«

Gdyby chodziło tylko o nasze komputery, można by na tym ten artykuł zakończyć. Ale jego celem nie jest tylko ostrzeżenie użytkowników poczty elektronicznej. Chodzi o wskazanie na fakt, że opisany powyżej mechanizm jest dokładną ilustracją duchowych zwiedzeń czasu ostatecznego, których jesteśmy aktualnie świadkami i na które jesteśmy ciągle narażeni.

Powiedzmy bez długich wstępów i bez ogródek: Niezmiernie skuteczną taktyką szatana, który jest przeciwnikiem ludu Bożego, jest obmyślanie, produkowanie i puszczanie w obieg wśród ludzi wierzących takich właśnie pozornie życzliwych ostrzeżeń przeciwko domniemanym diabelskim zwiedzeniom. Rolę domniemanego wirusa `jdbgmgr.exe` pełnią w tych szatańskich ostrzeżeniach pojedynczy słudzy Boży, poszczególne usługi lub ruchy. Chodzi w istocie rzeczy o ważne elementy „systemu operacyjnego” Kościoła, z reguły te o szczególnie doniosłym dla jego funkcjonowania i rozwoju znaczeniu, natomiast w tych szatańskich ostrzeżeniach są one przedstawiane jako niezmiernie groźne zbłądzenia, herezje lub wypaczenia. Ich celem jest doprowadzenie do samoniszczenia się ludzi wierzących.

— Jakie są cechy rozpoznawcze tych szatańskich produktów? — Po pierwsze, przedstawiają one daną osobę, służbę czy ruch w takim świetle, aby wywołać strach. A więc rozwiązałe życie, fałszywa doktryna, powodowanie rozłamów, powiązania z religiami wschodu i New Age, a najlepiej czary i okultyzm, bo to napędza najczęściej strachu i budzi nieprzejednaną wrogość. Po drugie, starają się robić wrażenie życzliwego nastawienia względem dzieci Bożych, szczerzej troski o dobro Kościoła i służenia Bożym celom. Po trzecie, wzbudzają nieufność w skuteczność normalnych, biblijnych środków wykrywania błędów i zwiedzeń. Sugerują, że dane zwiedzenie jest tak perfidne, że wierzący nie wykryje go przez Słowo Boże ani Ducha Świętego — potrzebne jest w tym celu przeczytanie odnośnego apelu-horroru na odnośnej stronie internetowej, przy lekturze którego włosy jeżą się na głowie i po lekturze którego umysł czytelnika nasączony jest trucizną obcości, strachu, gniewu i wrogości w stosunku do danego „groźnego wirusa `jdbgmgr.exe`”, który jest tematem tego konkretnego „ostrzeżenia”. I po czwarte, opracowania takie w sposób bezpośredni lub pośredni starają się nakłonić czytelnika do aktywnej walki przeciwko tej domniemanej okropności przez niszczenie jej we własnym otoczeniu i nakłanianie do tego wszystkich innych — do zasiewania ogólnej obcości i wrogości w stosunku do danej osoby, służby czy ruchu, będących przedmiotem danego ataku.

I niestety, wszystkie te diabelskie wysiłki nie są bezskuteczne. Bardzo często dostarczamy naszemu przeciwnikowi powodów do dzikiej satysfakcji, kiedy z założonymi rękami może beczynn timer obserwować, jak z jego inicjatywy zapamiętałe nie tylko niszczymy się wzajemnie, lecz także nakłaniamy do tego wszystkich wokół siebie, powodując, że liczba samoniszczących się wzrasta lawinowo. Co chwila odbieram maile lub telefony, w których jestem pytany o mój stosunek do tego czy tamtego, przy czym po pierwsze okazuje się, że osoba pytająca przeczytała właśnie jakieś mroźące krew w żyłach ostrzeżenie przeciwko danej „okropności”, a po drugie dostrzegam, że jej pytanie jest właściwie tylko kurtuazyjną próbą ostrzeżenia mnie przed tym odkrytym właśnie zgubnym „wirusem”. Jeśli zaś odważę się ujawnić szczerze,

że brat czy ruch jdbgmgr.exe nie jest dla mnie niebezpiecznym wirusem lecz cennym elementem Bożego duchowego systemu operacyjnego, mogą być prawie pewny, że spotkają mnie, jako również zwiedzionego, przejawy obcości i wrogości. Może nawet doczekam się zaszczytu specjalnego ostrzegawczego opracowania, w którym to ja znajdę się w roli groźnego wirusa jdbgmgr.exe. I cóż z tego, że wszyscy robią to w dobrej wierze, w autentycznej trosce o dobro Kościoła i z szczerą życzliwością w stosunku do innych, skoro obiekt, na którym się pastwią, nie jest, jak sądzą, groźnym wirusem, lecz ważną częścią organizmu Kościoła, który na skutek tych działań dotkliwie cierpi?

— Ale czyż nie wiesz, że żyjemy w czasach ostatecznych, w których ma miejsce mnóstwo autentycznych, niebezpiecznych zwiedzeń? — Jak najbardziej wiem i właśnie tu o nich mówię. Cóż bowiem może być gorszym jeszcze zwiedzeniem niż to, które powoduje zaniechanie walki przeciwko mocom ciemności, odsunięcie na dalszy plan dbałości o własny wzrost duchowy, a zamiast tego skoncentrowanie się na zwalczaniu i niszczeniu swoich współpracowników? Jakież zwiedzenie prowadzi do stanu tak ponurego jak to, które cały Kościół pogrąża w duchowym paraliżu i sprawia, że poszczególne jego elementy stają się niezdolne do współdziałania, a zamiast tego zwalczają się i potępiają? Cóż może być gorszego niż stan, w którym jak tylko Bóg kogoś pobudzi i rozwijać się zaczyna jakaś nowa służba, natychmiast jak sępy rzucają się na to inni, mieniający się stróżami prawowierności Kościoła, aby temu złorzeczyć, potępić to i niszczyć?

Jeśli łatwowiernie słuchasz oskarżeń, przyjmujesz oskarżenia i powtarzasz je innym, to właśnie dowodzisz, że uległeś zwiedzeniu i wbrew szczerym intencjom, mimo woli niszczysz Kościół i sprawiasz satysfakcję szatanowi. I co gorsza, w odróżnieniu od pseudowirusa komputerowego, gdzie oszustwo można szybko wyjaśnić, ten diabelski pseudowirus oskarżenia ma to do siebie, że jeśli zostałeś nim zakazony, będzie cię niszczył od wewnątrz przez całe lata, może do końca życia. Nie pozwól ci zobaczyć zwiedzenia i uprawiać będziesz w stosunkach ze swoimi współpracownikami wrogość, spór, knowania, waśnie, odszczepieństwo. Kościół Chrystusowy dysponuje skutecznymi środkami samooczyszczania się i walki przeciwko złu, ale nie mają one nic wspólnego z tymi oszczerczymi diabelskimi produktami, rozpowszechnianymi wśród ludu Bożego z pogwałceniem całego mnóstwa wyraźnych biblijnych zasad.

Jest jednak łatwy sposób uchronienia się od tych szatańskich knowań. Wystarczy przyjrzeć się wskazaniem Administratora systemu operacyjnego: „Proszę NIGDY nie brać pod uwagę podobnych apeli, jak też PRZENIGDY nie wysyłać niepewnych wiadomości do wszystkich ze swojej książki adresowej”. Kiedykolwiek usłyszysz takie ujadanie przeciwko komuś lub czemuś, przy którym oblatuje cię strach, NIGDY mu nie wierz lecz otocz swoimi modlitwami atakowanego czy atakowanych, błagaj także o Boże zmiłowanie dla atakujących, gdyż w przytłaczającej większości czynią to w dobrej wierze, kierowani szczerą troską o dobro Kościoła Jezusa Chrystusa, którego gorąco miłują. Nie pozwól wyrósć w swoim sercu wrogim nastrojom w stosunku do nich, PRZENIGDY też nie ostrzegaj innych ani przed atakowanymi, ani przed atakującymi. Jeśli już chcesz ostrzegać, to ostrzegaj przed knowaniami oskarżyciela i łatwowiernością w ich przyjmowaniu i powtarzaniu innym.

— Czy powyższe zalecenie może okazać się skuteczne, czy też raczej będziemy nadal świadkami bezkarnego grasowania szatana na tym polu? — Niewątpliwie szczerze dzieci Boże boją się nad zniszczeniami, wyrządzanymi Kościołowi, i robią wszystko, aby nie mieć w nich swojego własnego udziału. We wszelkich tego typu pozornie życzliwych ostrzeżeniach rozpoznają głos „oskarżyciela braci” i nie dadzą się wciągnąć w pułapkę samoniszczania Bożego dzieła. Pozostaną jednak ci, którzy jeszcze mają w sobie coś z natury oskarżyciela i to sprawi, że nie będą w stanie się powstrzymać od przyjmowania i rozpowszechniania oskarżeń przeciwko innym dzieciom Bożym.

Będą też zapewne tu i tam pojawiać się i tacy, którzy w złych zamiarach, świadomi zniszczeń, będą produkować i puszczać w obieg takie ostrzeżenia, działając w swoim osobistym interesie i broniąc w ten sposób swojej pozycji czy władzy, zagrożonej przez postępującą odnowę Kościoła. Ani tych nie osądzamy ani nie zwalczamy. Zdadzą oni rachunek ze swoich działań przed jego Głową. Jeśli jednak lud Boży wyczuli się na dźwięk głosu swojego Pasterza, to bez trudu rozpozna obcy głos oszczercy i pozostawiać będzie diabelskie pseudowirusy bez wszelkiej odpowiedzi.

Miłującym Boga wszystkie rzeczy dopomagają ku dobremu. Nawet szatańskie pseudowirusy współdziałają, aby doprowadzić odnowiony Kościół do duchowej dojrzałości. Jedną z ważnych cech rozpoznawczych chrześcijanina i Kościoła kroczącego drogą odnowy jest to, że NIGDY, PRZENIGDY nie daje się sprowokować do postawy wrogości ani do bratobójczych działań skierowanych przeciwko innym członkom Ciała Chrystusowego, dając posłuch niszczyielskim oskarżeniom lub upust gniewowi na oskarżających.

J. K.

---

### Spis treści

Kiedy obłok się podnosi .....	1
Zwróćcie uwagę na Jezusa .....	8
Omiń pułapkę zniechęcenia .....	15
Burzenie warowni w życiu kościoła .....	21
Uwaga! Groźny wirus! .....	32

---

**Ty powstaniesz, zmiłujesz się nad Syjonem, bo czas zlitować się nad nim, gdyż nadeszła właściwa pora.**

*Ps 102:14*

**Niech umilknie przed Panem wszelkie ciało, gdyż Pan już rusza ze swojego miejsca świętego.**

*Za 2:17*

---

Serdecznie dziękujemy za ofiary, złożone na potrzeby wydawnictwa.

---

Wydawca: Oficyna „Cel”, Józef i Emilia Kajfosz, 30-147 Kraków,  
 Na Błonie 15/91; tel./fax: (+48 12) 637 06 18; E-mail: docelu@jezus.pl  
 Serwis internetowy: <http://www.docelu.jezus.pl> Nakład 250 egz.  
 Rachunek bankowy: Nazwa rachunku: Józef Kajfosz, Na Błonie 15, Kraków  
 Bank: PKO BP SA, V Oddz. Kraków; Nr rachunku: 85-10202906-211030158.  
 W Polsce kopiowanie, powielanie i przedruk dozwolone bez ograniczeń.  
 International Copyright Secured. Pojedyncze numery są bezpłatne.